POLSKA INWALIDOM



№ 4

MAJ 1927 ROK

POLSKA INWALIDOM

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY

ROK II. WARSZAWA, MAJ 1927. № 4.

Od Redakcji.

Od chwili wydania pierwszego zeszytu „Polska Inwalidom“ upłynęło już sporo czasu, i dużo, bardzo wiele zmieniło się w Polsce. Z chaosu jednak burzy i walk, sprzeczności i niepowodzeń wychodzi nasza Ojczyzna zwycięsko i nie trwoży się przed nieznaną przyszłością. Wewnętrzna rozbudowa państwa posuwa się stale naprzód, i rośnie wśród obywateli poczucie i zrozumienie państwowości. Redakcja nasza, trwając na swym trudnym posterunku, zwalczając wiele przeszkód, a dążąc zawsze do jednego celu, na początku działalności jasno postawionego, i dziś ma te same zadania w imię rzuconych już haseł: bronimy sprawy tych, którym w znacznej mierze zawdzięczamy dzisiejszą naszą wolność. Pracujemy w obronie tych setek i tysięcy, których krwawa praca i trud straszliwy ocaliły niegdyś stolicę, ocaliły najważniejsze centra przemysłu i handlu, ocaliły honor Polski i Jej wielką przyszłość.

Stwarzając dzisiaj—na nowych podwalinach — **miesięcznik „POLSKA INWALIDOM“** nie wątpimy, że znajdziemy wszędzie poparcie jak najgorętsze. Nie wątpimy, że wszyscy ludzie dobrej woli nie odmówią nam swej pomocy, że w haśle naszem, „nędza inwalidów to rumieniec wstydu na obliczu społeczeństwa“ wyczują prawdę a nie krzyk agitatorski, że na równi z nami zapragną, by stanęły nareszcie w Polsce domy i warsztaty inwalidzkie, w których wrzeć będzie produkcyjna praca, że na równi z nami będą dążyć do tego, by wszyscy ci, którzy w obronie ojczyzny utracili ręce, nogi czy wzrok, i zdolność do pracy, czuli się dobrze wśród rodaków, by czuli się obywatelami, którzy spełnili zaszczytnie swój obowiązek, a nie żebrakami, klnącemi swój los. Miesięcznik nasz będzie dawał zawsze, obok obfitej treści literackiej, wiadomości z życia inwalidów, i będzie dążył wytrwale do tego, by społeczeństwo zainteresowało się żywo bytem i pracą inwalidów, i by im pomagało w pełni zrozumienia, że spłaca jeden z swych najpilniejszych i najświętszych długów.

Redakcja i Wydawnictwo

„POLSKA INWALIDOM“.



Ojczyzno Moja!

Ojczyzno moja! Otom dał
na okup za Cię wszystką moc
i głowę mi objęła noc,
gdy serce rozdarł wrogi strzał —

Trudym na siebie wielkie brał,
pomny, że Twój odwalam grób,
a teraz oto leżę — trup...
nie żądny więcej marnych chwał...

— — — — — — — — — —

Ojczyzno moja! Mnie już nic...
utulił miękko wieczny sen,
marzenia, bóle — poszły hen,
gdy piach zcałował czerwień lic —

— — — — — — — — — —

Ojczyzno moja! Patrz! Mój syn,
od zimna drży i głodny jest,
ojca mu zabrał krwawy chrzest
na odkupienie Twoich win

Ojczyzno! Nie daj aby marł,
nakarm i odziej, gdym ja padł,
bom się za Ciebie we krwi kładł
gdy wróg się w progi Twoje wdarł —

Cóż dzieci winne? drobny kwiat,
że mitraljezy zciął mnie nóż,

i, żem w przydrożny upadł kurz
przesłaniający gęstwą świat.

— — — — — — — — — —

Ojczyzno moja! Patrz — Mój brat
sto bitew przeszedł — wrócił żyw,
aż mu to dziś samemu dziw,
że go pocisków nie zmiótł grad —

Teraz pod ścianą stoi — dziad —
wyciąga słabą, biedną dłoń,
co piorunową niosła broń,
gdy inny w strachu podłym bladł

Ojczyzno moja! Matką bądź
tą sprawiedliwą i rozumną
i nad Twych dzieci wielką trumną
zbrodniarzy sądź! —

Juljan Zacharkiewicz

1921 r. Pozycja.



Turski przyglądał mi się teraz z widocznem zadowoleniem. W jego czystych oczach grała ta dziecinna radość jasnemi płomykami, które, rzekłbyś, jakby blasku dodawały tej dobrej, ufnej chwili. Turski mówił:

— A co, psiakość! Wyglądasz teraz jak porządny, burżujski autor. I nawet bardzo, bardzo interesująco! No, mówię ci! Oczy masz duże, pełne dziwnych błysków, nastrojowo podkrążone, mocne. Zdradzają one niepospolitość przeżyć i niewątpliwie także znaczną tężyznę woli. Czy zauważyłeś, jak dobrze mówię?

— Acha.

Co? i Turski roześmiał się nagle z zupełną beztroską. — Teraz to już furda, bracie! Przeszło, chwała Bogu! Ale nie mogę zapomnieć, żeś...

— Wszak mieliśmy o tem więcej już nie mówić.

— Dobrze, dobrze. Pokażno się! No, dobrze. Spodnie troszeczkę za długie, jestem wyższy od ciebie, ale reszta, jak ulał. Wobec tego idziesz ze mną, co?

— Dobrze. A gdzież to będzie?

— Ano, w restauracji, oczywiście, w pierwszorzędnej i w gabinecie. Będzie osób razem z nami ośm lub dziewięć.

— Hm... Ale ja... Cóż ja?

— Daję ci słowo, że Gębarski się ucieszy. To karjerowicz, ale serce złote. To złoto jest, że tak powiem, nieco smołą egoizmu pokryte, ale to złoto niemniej tam jest. A wiesz, wino, śpiew, kobieta, krzyk, gwar, podniecenie to ci dobrze zrobi. Z wszelką pewnością.

— Sądzisz?

— Jestem pewny.

— Więc... o której godzinie?

— O dziewiątej.

— Mamy więc czas. Teraz ja pójdę...

Turski spojrzał na mnie prawie podejrzliwie: — A, pardon, ale cię nie puszczę. Stanowczo.

— Mam załatwić coś, co uważam za nieodwołalnie konieczne.

— Hm... Będę ci towarzyszył.

— Jak chcesz... Ale dasz mi słowo, że zapomnisz najzupełniej o tem, co usłyszysz i zobaczysz, i że nawet ze mną nie będziesz o tem mówił.

— Dobrze. Masz moje słowo.

— Zatem chodźmy.

Jadąc tramwajem przeżywałem śmieszne i dziwne nastroje. Musiałem, co chwila musiałem sprawdzać, że mam pieniądze, i nie mogłem nie dziwić się. że... jadę tramwajem. Nawet głośno powiedziałem:

— Wiesz, Henryk, już chyba ze trzy miesiące nie jechałem tramwajem.

Turski uśmiechnął się z zakłopotaniem. Obrzucił mnie znowu jakby podejrzliwym wzrokiem, lecz już po chwili rzekł niefrasobliwie:

— Mój drogi, przyzwyczaisz się znowu i prędko — po chwili zaś dodał poważnie: — Musisz zapomnieć o tamtem. Musisz.

— Ależ dlaczego?

— Aby się wyzwolić. Aby zacząć zgoła odmienne, zasadniczo inne, zdobywcze życie. Zrozumieć, że nie wolno pod grozą utraty zdrowych zmysłów, albo nawet i życia, poddawać się zupełnie urokom i czarowi zła i nędzy, grasującej na oceanie zbiorowego bytu. Wybacz, może mówię niejasno. Lecz przeciaż wiem, i sądze, że także ty wiesz o tem, o tem prostem, realnem istnieniu władczej przemocy uroków i czarów nędzy. Są, którzy raz w ślepia tej nędzy spojrzawszy, poddają się jej bez oporu, ratunku szukają w doktrynie i marzeniu, zatracają nieraz w najbezmyślniejszy sposób bogactwo własnej duszy, a wzamian za to zyskują np. rewolucję.

— To mało?
— To zapewne wiele, może nawet bardzo wiele. Ale...
— Ale...?
— Zdziwisz się zapewne — wzruszył Turski ramionami, i w jego łagodnych oczach zajaśniał nagle męski blask stali — przeżyłem wszystkie etapy rosyjskiej rewolucji, widziałem tam wszystko to, co widzieć trzeba było i co tylko można było widzieć, widziałem konieczność dziejową, ściśle logiczny rozwój sprawy, nie widziałem jednak w tem wszystkiem ani Człowieczej Woli ani Człowieczej Duszy.
— Jakto?

— Zaraz. Bo, widzisz, ja do spraw ziemi odnoszę się realnie, to jest z całą rozwagą i zimną krwią, na jaką mnie tylko stać. Przeto nie chciałbym życia ziemskiego reformować na wzór marzeń, bo to się nie mieści w ramach rzeczywistości, bo kto chce wszystkiego, ten nie otrzymuje nic. Takie jest prawo ziemskiego bytu. Jeżeli nawet w dziedzinie fantazji obowiązuje pewna miara, pewna logika i ścisły rozkaz twórczy, to taka miara, takie liczenie się z istniejącemi warunkami obowiązuje, musi obowiązywać w dziedzinie tworzenia człowieczej rzeczywistości. Doświadczenia wolno robić w pracowniach, a nie na żywem ciele narodów i państw. Może ja niedaleko



— A tak. A tak. Powierzchowną zmianę form, zemstę doprowadzonych do rozpaczy nizin, rozuzdanie gorzej niż zwierzęce bydła ludzkiego, zatracenie zdobyczy wiedzy i kultury, naśladowanie dawnego porządku tylko w złem podobało się nazwać rewolucją. Już Tołstoj, którego zresztą nie uważam za wyrocznię, słusznie jednak powiedział, że gdyby tak zwani rowolucjoniści zużyli na prace nad duszami tyle sił, ile stracili na rzeczy pozorne, to dawno już zło świata rozpłynęłoby się w słońcu oświaty tak, jak śnieg topnieje w blaskach wiosny.
— Nie zupełnie cię rozumiem.

widzę, może być, że nieposiadam tego drogocennego daru, nazwanego przez Zagłobę generalnem myśleniem, ale, niestety, taki jest mój sąd: rewolucja taka, jaką obecnie przeżywa Rosja, chociaż jest koniecznością dziejową, budzi we mnie, człowieku wolnym, pogardę i wstręt. Nawet pod grozą utraty życia nie kiwnąłbym palcem w bucie, by jej pomóc. Mimo wszelkie teorje i t. d., nie uważam, aby człowiek był tylko drzazgą bezwolną w mocy fatum, i nie zwalniam nikogo od osobistej, indywidualnej odpowiedzialności.
— Proszę cię, mów dalej.

— Wierzę w człowieka, wierzę w duszę ludzką i wierzę w Boga. Przeto zacieśnianie Celu i Bytu w kole materji złudnej, łudzącej i przedewszystkiem nietrwałej, wydaje mi się głupotą. I szarlatanerją. I często zbrodnią. Zwykły nauczyciel ludowy, który zapałem, wytrwałością i poświęceniem zdołał zjednać sobie chłopów, nauczyć ich dzieci, rozbudzić we wsi żądzę wiedzy i dumę oświaty, jest bohaterem i uczynił dla Ewolucji więcej, niż tysiące Leninów i Trockich. Mój drogi, to przecie albo głupcy, albo fanatycy, co na jedno wychodzi, albo też zbrodniarze.

— Festina lente, poeto. Niewiadomo co powie historja. Rewolucja rosyjska nie jest drzewem, które rodzi parszywe owoce. To las, to ogromny bór. Może i będzie z tego jaka korzyść.

— Pardon. Primo, nic mnie nie obchodzi historja, bo jest jeszcze bezsilna. Bardzo, bardzo słabiutka. Niedaleko sięga, a ludzkość jest już bardzo stara. I plotkuje, stanowczo plotkuje. I jest tak samo niewolnicą możnych tego świata, jak niemal wszystko. Mnie obchodzi tylko człowiek. A ktokolwiek wolnego człowieka poddaje tłumowi...

— Nie mogę dziś z tobą dyskutować. Jeszcze nie jestem normalny. Zdaje mi się jednak, że patrzysz jednostronnie.

— Streszczam się wobec tego. Jestem wrogiem materji i tej ziemskiej rzeczywistości. Chcę budować w sobie człowieka wolnego. Ale żyjąc tu oddaję cesarzowi, co jest cesarskiego. I więcej nic. Koniec. Duszę mam nie dla tłumu! Nie mam jej dla tej żmji zaiste przeklętej, dyszącej wieczną rozkłamaną zdradą! Idea święta istnieje tylko dla człowieka! Wielkość ziemska! Ha! ha! Oddaj że wszystko tłumowi w ofierze, będziesz wielkim! Czyn tłumu rodzi się zawsze wśród brudnej żądzy. Tłum węszy jedynie żeru. Uwielbia siłę. Nie wie nic. Bo człowiek, który wie, nie należy do tłumu. Tłum nie rozumie wolności. Człowiek wolny zdobył wolność nie w bitwie, nie w książce, nie w rewolucji. W sobie. I jest wolny.

— Napisz to. W wierszach. Proza wymaga ścisłości w dowodzeniu.

— Nie jestem filozofem. Jestem wolnym pieśniarzem.

— Dumo!

— Dobrze mi. Nawet wtedy kiedy jestem głodny i obdarty. A ty?

— Ja naprawdę byłem głodny i obdarty — rzekłem mimowoli.

Turski zamilkł. Przybyliśmy zresztą na miejsce. Na rogu, jak zwykle, Walentowa sprzedawała bułki. Podszedłem.

— Jak się macie, Walentowo?

— A dzięki ta Bogu, dzięki. Słońce stare kości grzeje i wilgoć wyciąga — odpowiedziała stara z humorem — Co dla panów? Papierosy?

— A dobrze. I papierosy się przydadzą. I proszę mi dać cztery ot takie bułeczki.

— Dobrze. Dobrze. Świeżutkie. Świeżuteńkie. W ustach się rozpływają.

Płacąc „omyliłem się“ na korzyść Walentowej. Ale stara dość szybko przeliczyła pieniądze i rzekła: Tu za dużo.

— Nie!

— Ale! Tak. Pan się omylił. Ja, choć niedowidzę, ale liczyć zwyczajna. Tak.

— Nie, Walentowo. Jest dobrze. Ja kiedyś Walentowej za kilka bułek nie zapłaciłem.

— Ii! Niby pan. E, nie pamiętam.

— Ale ja pamiętam — odszedłem szybko.

Turski szedł za mną w milczeniu.

* * *

Karol Gębarski był „człowiekiem wielkim“ tego miasta. Jego nowelle, szkice, dramaty i komedje cieszyły się znacznem powodzeniem i przynosiły mu podobno znaczne i częste dochody. Był mistrzem polskiej reklamy, śmiało nawet można powiedzieć, że w dziedzinie reklamy literackiej spowodował przewrót i szedł stale na czele. Zawsze pewny siebie, zawsze wielki wobec maluczkich, równy wobec wielkich, a dumnie skromny wobec największych—zawsze miał w pogotowiu „małą tajemnicę reklamową“, przy pomocy której, trzeba to przyznać, najczęściej zwyciężał. Zwyciężał, albowiem starania jego miały na celu jedynie zainteresowanie i podniecenie publiczności,oraz pomyślną sprzedaż książki, co też zwykle nie zawodziło.

I dzisiejsza uczta była sprawą przedewszystkiem reklamową.

Wyszedł właśnie nowy tom opowiadań Gębarskiego, a dyrekcja teatrów miejskich zapowiedziała wystawienie nowej jego komedji, trzeba więc było o tych ważnych sprawach w sposób należyty, a możliwie częsty, przypominać publiczności, co, oczywiście, czynić może i czynić jedynie umie codzienna i tygodniowa prasa stołeczna. Na kolację więc zostali zaproszeni wyłącznie przedstawiciele prasy, Turski zaś, jako przedstawiciel bardzo młodego, lecz już bardzo wpływowego tygodnika literackiego, był tu szczególniej honorowany. Przeto i ja...

Lecz czułem się niewymownie głupio. Przedewszystkiem zdawało mi się uparcie, że każdy wie, że jestem w ubraniu Turskiego, że jeszcze tydzień temu byłem poprostu nędzarzem i że...

Tak, tak.

Ci, doskonale ubrani mężczyźni, z których każdy zdobył już rozgłos czy sławę, stanowisko i pieniądze, ich żony w świetnych sukniach, ożywione i kuszące, wesołe, pewne siebie, nawet usługujący kelnerzy — nie należeli już do mojego świata. Czułem się tu intruzem. Jakgdyby jakaś niewidzialna ściana odgradzała mnie od nich, i jakgdyby jakieś niezrozumiałe ostrzeżenie brzęczało mi ciągle w uszach.

Nie rozumiałem tych ludzi. Mówili o rzeczach, które uważałem za zbyteczne, albo za obojętne. Z ich ruchów i gestów, z dźwięku ich głosów, z błyszczących oczu i wilgotnych, czerwonych warg tryskało zdrowie i radość użycia. I było w nich jakgdyby ślepe poczucie słuszności i celowości własnego istnienia i to właśnie takiego istnienia. Cóż świat? Cóż ziemia? Cóż ludzie? Cóż człowiek?

O świecie mówi się bardzo przyjemnie i bardzo płytko. Samotne zamyślenie, głębokie wnikanie nie prowadzi do niczego. To nie jest praktyczne.

Ziemia? Ach, to już stare, nie modne, znane. Wie się wszystko.

Ludzie? No, tak. Ci i ci. Zawsze z tego [samego poziomu, lub tacy, o których się mówi i pisze. Zresztą... doprawdy... cóż zresztą?

A człowiek? A człowiek, moi państwo, to przedewszystkiem ja. Dlatego ja, który to a to uczyniłem, napisałem, wymyśliłem, wynalazłem, ja mam prawo... i t. d. Wydawało mi się więc, że ci wszyscy ludzie żyją w jakiemś zaczarowanem kole, a ja jestem jednak poza tem kołem. Lecz cóż? Oni o tem nie wiedzieli. Może nawet nie myśleli o tem, co jest poza nimi i ich sprawami.

* * *

Dopiero wino rozgrzało we mnie krew i obudziło we mnie zmysły. Silne a poważne, może nawet posępne, myśli usnęły. Zacząłem widzieć i słyszeć inaczej, a raczej co innego. Zaczęły mi się podobać dowcipy redaktora Zawiejskiego, i zaczął mi się podobać głośny, ochoczy śmiech jego żony. Zauważyłem, że ta pani ma piękne czarne oczy, że nie używa jeszcze żadnych kosmetyków, i że jej uśmiech jest prawie dziewiczy. Miała na sobie modną, krótką suknię, a na szyi prześliczny sznur pereł. Jeśli perły były fałszywe, to niezdradliwą i niekłamliwą w każdym razie była wytworna linja jej ciała, i zachwycające drobne „nóżki“, prawie do kolan odsłonięte. Przypatrywała mi się z pewną, prawie natrętną, ciekawością i niecierpliwiła się widocznie mojem milczeniem i obojętnym spokojem. Kiedy już wstano od stołu, kiedy rozpoczęło się picie czarnej kawy, likierów i wina wśród zupełnego bezładu, wśród usilającego się gwaru i podniecenia, pani redaktorowa korzystała z każdej sposobności, by napełnić mój kieliszek, szepnąć miłe słówko, lub obdarzyć spojrzeniem, które zapewne wielu już do... piekła pożądań zaprowadziło. Podobała mi się. Szczególnie miłe (a chwilami podniecające) wrażenie wywoływał we mnie jej śmiech głośny i szczery, śmiech dużego dziecka, które nauczyło się już wyzyskiwać radosne możliwości życia, chociaż nad tem życiem zapewne się nie zastanawia i wielu spraw jego jeszcze nie rozumie.

Wypiłem już dużo i ciągle jeszcze piłem. Ciężyła mi głowa, zasnuwała chwilami oczy biaława, niepokojąca mgła i duszne rozleniwienie płynęło w żyłach strugami ciężkiej krwi. Starałem się opanować. Usiłowałem nawet skupić myśli, uporządkować je i pchąć w jednym kierunku, lecz mi się to zupełnie nie udawało. Cała moja przeszłość wydawała mi się w tych momentach jakimś dziwnym, fantastycznym snem, a przyszłości zgoła nie widziałem, zupełnie jej sobie nie mogłem wyobrazić. Jakby się wszystko skupiło w tej trwającej chwili, która mnie ani cieszyła, ani martwiła, bo była raczej obcą i obojętną, a taką, która niewiadomo kiedy się zaczęła i niewiadomo czy się wogóle skończy. Zaniepokoiło mnie to wreszcie o tyle silnie, że wstałem (aczkolwiek z trudnością) i poszedłem do Turskiego:

— Mój drogi, która to godzina?

— Jeszcze nie świta. Siedź, pij i flirtuj.

— At!

— Już nastroje, co? — i Turski podał mi kieliszek — pij! Niech żyje podniecenie i otumanienie.

Zaś sam wielki Gębarski zadzwonił kieliszkiem o mój kieliszek i jął prawić zachrypniętym, zmęczonym głosem:

— Pijmy! Za nasze zdrowie! Za zdrowie wszystkich tu obecnych. Czytałem pańskie wiersze, panie Tadeuszu, w ostatniej „Ziemi“, bardzo, bardzo mi się podobały. Jest pan bezwzględnie poeta natus, tak. To jest niesłychanie ważne, to jest tak cenne, tak rzucające się w oczy, że niemal nie potrzebuje reklamy. Wystarczy takie utwory ładnie wydać i na czas wszędzie recenzje zamieścić. Recenzje, oczywiście, z licznemi wyjątkami. To zupełnie wystarczy. Słowo daję. Ja się na tem znam. I my to zrobimy, panie Tadeuszu, z pewnością zrobimy. Ale pan musi być z nami. Zerwać trzeba z tą ponurością, z tą samotnością, z temi tam nastrojami, uczuciami, przeżyciami, wątpliwościami, z tem tam wszystkiem, co już lat dziesięć temu na przesyt chwalebnie umarło. Dość. Jesteśmy ludźmi nowoczesnemi. Jesteśmy ludźmi wolności i sztuki. I sztuki, rozumiecie? I sztuki! Gry! Genjalnego budowania, składania, kombinowania, łączenia, burzenia, udawania, blagowania, tworzenia innego niby życia, ale życia, które jest grą i walką. Tak. Nie jesteśmy świętemi, nie jesteśmy kapłanami, jesteśmy ludźmi sztuki. I nowoczesności! To jest dzjsiejszego, cudownie rozwiniętego, bajecznie ciekawego i złożonego miasta! Niech żyje miasto! Wszystko jest w niem do zdobycia i wszystko w niem zdobyć można, młody poeto! Tylko trzeba w sobie zabić ten polski, słowiański smęt, trzeba z siebie wyrzucić precz wszelkie robactwo myśli niepotrzebnej, która jeno przeszkadza, trzeba umieć być człowiekiem silnym. Jeśli twoja sieć nerwowa i uczuciowa będzie jako ta harfa, o którą każdy wicher trąca, to będziesz może pisał przecudowne utwory o nędzy, biedzie, krzywdzie i t. d., ale z tych utworów połowy ci nie wydrukują, a druga połowa uczyni cię sławnym tam, gdzie sława nic nie daje i zawsze będziesz miał podarte buty. Trzeba być człowiekiem nowoczesnym, silnym, zdobywczym, zuchwałym, możnym. Chwytać każdą radość życia, bo ta radość podnietę twórczą daje. A czemże jest człowiek, ha, ha, ha, czemże jest człowiek? I czemże jest życie, proszę państwa?! Ha! ha! ha! Precz ze starą filozofją! Precz! Nie uszczęśliwiła człowieka! Życie jest, proszę państwa, kruchym, bardzo kruchym pucharem, który jednak trzeba umieć słodyczą napełniać i pić. Pić! Musisz człowieku, bo taką jest konieczność, bo takiem jest jedyne prawo siły wyższej, której złamać nie możesz, jedyne prawo, które się wykonuje, a więc jest, pić musisz, więc kiep ten, który ten puchar goryczą napełnia. Kiep!

Należy napełniać puchar słodyczą i siłą! Siłę daje zwycięska walka, słodycz daje miłość. I jedno i drugie trwa w potędze niezwalczonej w murach nowoczesnego miasta! Niech żyje miasto! Niech żyje nowoczesna miłość! — podniósł się prosty i smukły, błysnęły w szybkim ruchu brylanty na jego ręce. Zasyczało w wysokich, cienkich kieliszkach perlące się, lśniące wino. Błysnęły zamglone oczy.

— Niech żyje! — krzyczeli półpijani i śmiali się z własnego okrzyku.

* * *

Woń więdnących na stole kwiatów, zapach likierów, perfum i papierosów stworzyły duszną, ciężką atmosferę, przesyconą jakgdyby smugami ledwo wyczuwalnych, rozdrażniających powiewów. Światła elektryczne zamknięte w matowych lampkach wielkiego świecznika i świetlisych kwiatach licznych, bocznych świec, prószyły białowo-złocistym, rozdrganym pyłem, łączącym się chwilami w łagodne, długie blaski, które znagła oświetlały wyraźnie jakąś twarz, zamigotały na oczach i czole, i rozpływały się znowu w mgle dymu, jakgdyby tajemnie wracając do swojego źródła. Wysokie a wąskie zwierciadła, błyszcząc przyćmionem lśnieniem, chwytały odbicia ludzi i przeinaczały ich w przepiękne, napółwidmowe postacie.

Siedząc w połmroku patrzałem w zwierciadło. Widziałem własną twarz — chudą i bladą, wyraźną i jasną, rzecby się chciało, szczerą w swych linjach, i świecące w niej duże, podkrążone oczy. Na czoło wysokie padał czarny cień — cień chwilami i twarz

— Pamięta. Z wszelką pewnością pamięta — dziwacznie uśmiechnęła się pani Zawiejska — bardzo się jej podobały ostatnie pańskie wiersze.

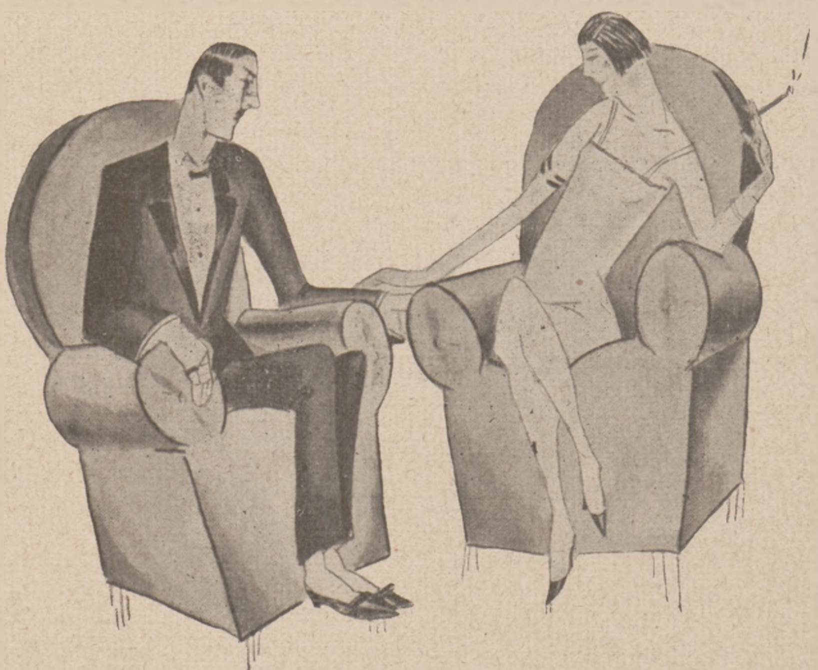
— Skąd pani wie?

— Wiem.

Patrzały już we mie dziecinnie jasne, duże, niebieskie oczy.

* * *

— Ach, przesadza pan, przesadza, jakże pan przesadza! Ale muszę przyznać, że mówi pan z przekonaniem i pięknie. Powinien pan to koniecznie napisać. W formie może nowelli, a może nawet urywkowego, wie pan, takiego kinematograficznego opowiadania. Bo jest w tem szczery żar uczucia, jest zmienność, falistość, taki kobiecy kaprys nastrojów, to znaczy właśnie to, co jest potrzebne w dzisiejszych czasach. I są bajeczne przeciwieństwa, niesłychanie silne kontrasty. Ależ koniecznie powinien pan to napisać!



osłaniał, i wtedy widziałem jeno własne, błyszczące oczy, które mnie niepokoiły.

W zwierciadle przesuwały się i inne postacie. Zjawiała się niespodziewanie roześmiana, pełna twarz Zawiejskiego, majaczyła przez chwilę ascetyczna postać dziennikarza Rębickiego, aż znowu — niby wielki jasny kwiat — jaśniała nieskazitelna w linjach pani Zofja, i wówczas odbicie mych oczu jaśniało w lustrze uśmiechem.

Aż nagle usłyszałem:

— A tak. Była i pani Łabędzka.

— Czy Irena? — bezwolnie zapytałem.

Turski zatrzymał się. Przystanęła i pani Zawiejska.

— Tak Irena — odpowiedział Turski — czy ją znasz?

— Ach, przelotnie — już się opanowałem — bardzo wątpię, czy mnie nawet pamięta.

Słuchałem zdumiony i już chłodny, chociaż na to rozczarowanie byłem przecież zupełnie przygotowany. Żałowałem swego wybuchu, swych słów, swojej szczerości. Nie mogłem teraz nie powiedzieć:

— Widzi pani we wszystkiem literaturę. Patrzy pani na wszystko bodaj oczyma redaktora wielkiego dziennika, oczyma swego męża.

Lecz pani Zawiejska się nie obraziła. Jej czarne oczy z nieukrywaną przyjemnością błądziły po mojej twarzy, a świeże usta nie ustawały uśmiechać się kusząco. Położyła swą białą, gorącą rączkę na mojej suchej, wysuszonej dłoni i mówiła:

— Jest pan ciekawym chopcem i założę się, że wybitnie zdolnym, ale, panie, pan jest bezbronny wobec tego miasta, pan jest źle, fatalnie źle wychowany. Trzeba pana nagwałt edukować. Nie będzie to trudna praca. Sądzę, że jest pan wszechstronnie zdolnym.

— W czemże to trzeba mnie edukować?

— W mądrości życiowej, naiwny poeto, przedewszystkiem w mądrości życiowej. Trzeba panu pokazać jasno, wyraźnie, szczegółowo, co może dać życie mądre, sława, pieniądze, miłość.

— Miłość...

— Tak, miłość. Choćby nie była wieczna, nieśmiertelna, jedyna, jak chcą romantyczni, lecz byle tylko była gorąca, namiętna i mądra. I miłość jest sztuką, panie.

— Czy w tym waszym świecie wszystko jest sztuką?

— My nie. Czy pan mnie uważa za wytwór sztuczny?

— Gra pani słowami.

— Przecież nie jestem lalką. Upewniam pana, że wszystko mam... naturalne.

— I serce.

— I serce.

— Więc...

— Żadne więc. Wiem o czem pan myśli, i muszę stwierdzić, że na te sprawy mogę, muszę i chcę, ergo i patrzę wyłącznie oczyma rozumu. A pan chce...

— „Miej serce i patrzaj w serce".

— Nie! Pan jest doprawdy wspaniałym anachronistą. Może pan napisać silny wiersz na tle nędzy miasta, ale zapewne słabo się pan orjentuje w miasta tego statystyce. Nie chce pan, świadomie pan nie chce widzieć całej rzeczywistości. Nie chce pan stwierdzać faktów, buntuje się pan przeciw faktom, walczy pan z wiatrakami! Co więcej! I co daleko gorzej, panie!

— Już drżę.

— Naprawdę? Rzeczywiście ręka pana drży, ale to nie lęk, co? Co, poeto?

— Nie wiem.

— A któż wie.

— Pani to wie, co to jest gorzej?

— Że pan nie rozumie życia. Że pan go nie widzi. Że pan nie zdaje sobie sprawy z tej prostej rzeczy, z tej oczywistej prawdy, że istota bytu jest obecnie taż sama, co i wtedy, kiedyśmy jeszcze mieszkali w grotach i jaskiniach. To samo rządzi nami dziś prawo. To samo. Prawo walki i siły. A motorem walki jest głód i żądza, a nagrodą zwycięzcy jest chleb i miłość. Słabym i sentymentalnym biada! Jakże to pójdziesz pan w życie bezbronny? Oto jest prawda.

— Któż poznał prawdę? Ona, jak powietrze, zewsząd nas otacza i opływa, jest zarówno w nas jak i wokoło nas. Lecz dotknąć jej i chwycić nie możemy.

— Nie mówmy o prawdach wyższych. Jesteśmy na ziemi. Żyjemy. O wszystko staczamy boje. Więc rozumiemy prawo bytu. Dla nas jedynie prawo bytu może być prawdą.

— „Miej serce i patrzaj w serce".

— A zginiesz rychło i pochowają cię bez chwały.

— Pani Zofjo!

— Jakże panu prześlicznie zajaśniały oczy! Chciałabym widzieć pana w gniewie, w jakiemś straszliwem wzburzeniu. Ale mówmy otwarcie. Na tysiąc ludzi, którzy żyją niezgodnie z prawem bytu, jeden, może trzech, cokolwiek osiąga w życiu. I to są genjusze. Reszta ginie. I to znowu stwierdza prawdziwość słów moich.

— To nic nie stwierdza, proszę pani.

— Jakto?! Nie, pan jest nieładnie uparty. Muszę ja się zabrać do pana!

— Życie się do mnie zabrało...

— I co?

— I nic.

— E, nic? Jest panu dobrze na świecie?

— Nie.

— A dlaczego?... Milczy pan.

— Pani wie.

— Że się pan przejmuje? Ach, to sprawa do pokonania!

— Nie.

— Z wszelką pewnością. Trzeba zacząć inaczej żyć. Ot, niechby się pan zakochał. Porwie pana taki wicher świetlisty, rozpędzi te wszystkie chmury, odmieni myśli i oczy! Taka to jest, panie, miłość.

— Miłość...

* * *

I znowu patrzą we mnie niebieskie, jasne oczy.

...Widzę znowu drobne, śliczne wargi jak się rozchylają co chwila melancholijnym, dziecinnym uśmiechem, rozświetlającym twarz wiosenną łaską i kładącym czarującą miękkośc na dumne zarysy lica.

...Idę znowu — biedny i wyczerpany — obdarty i głodny — idę bogatą ulicą miasta i niosę, ja człowiek maleńkiej nędzy, niosę cierpliwie ciężką własność pięknej, jasnej pani. Jasna pani gładkie ma czoło i cudne oczy, idzie przedemną o kilka kroków, prosta i bujna, a dziwna w swej żałobie. Idzie wolno, spokojna i obojętna, pewna siebie i czarująca, i gra pełnią klasycznych swych kształtów, gra jakby świadomą pokusą.

...Zaś naprzeciw mnie przy fortepianie zasiadła również piękna i również kusząca pani Zawiejska i gra. Z niesłychaną wprawą, ze zdumiewającą szybkością i dokładnością pracują jej wypieszczone, różanobiałe palce. Pokój wypełnił się skrzydlatym rojem hucznych, porywających dźwięków i dźwięki te opętały wszystkich. Znużenie zostało znowu i szybko zwyciężone. Gębarski na nowo napełnił kieliszki, zaś Turski i Zawiejski, wpół się objąwszy, stanęli obok grającej i nagle zaśpiewali:

Sto słońc nam świeci, świeci gwiazd sto,
Życiem igramy, szaloną grą —
Zdobywcza walka to jest nasz znak,
Do boju idąc śpiewamy tak:

Cała falanga grzmiących, silnych, tryskających błyskami dźwięków — niby wiew palący — porwała się ze strun, zawirowała w pokoju, rozbiła się o ściany, huczała! Skry radosne i ostre wystrzeliły z oczu tych spokojnych, chłodnych, opanowanych ludzi. Fala krwi wzdęła się w sercach, szumem gwałtownym napełniła żyły, żywą, jasną czerwienią zabarwiła twarze. Porwali się wszyscy ze swoich miejsc. Uchwycili kieliszki. Wypili. I śpiewali razem, dziwnie zgodnie, z jednoczącą siłą, śpiewali, aż szyby grać jęły w oknach podzwonnym, nieśmiałym szelestem:

Hej! Jutro walka, a dzisiaj śmiech!
Wino, kobieta — i szał — i śpiew!
Szaleństwa młody, gorący dech
I krwi radosny, niekłamny zew!
O, druhu, nie patrz mi w oczy, nie!
Wprzód wina wypij butelki dwie,
Bo może oczy o śmierci śnią,
Wszak byt jest tylko szaloną grą!
Bo z mroków wyszedł dzisiejszy byt,
Nic w świecie wiecznych nie miewa gniazd —
Lecz zanim tajnię rozświetli świt,
Sto słońc nam świeci, sto świeci gwiazd!

Wstałem i ja. Wydało mi się w tym dziwnym momencie, że w błyskach rozpalonych oczu, w rumieńcach gorących jak żar, w sile i dźwięku słów chwytam na mgnienie niepokojącą prawdę tych pewnych siebie ludzi, że za sekund kilka będę już wiedział coś z wszelką pewnością. Lecz to poczucie zapadło się nagle w najzupełniejszą, a straszliwą pustkę. Nie było w tej pustce dosłownie nic, tak, że musiałaby się chyba zaludnić grozą lub potwornym lękiem. Lecz w samą porę i z niewypowiedzianą ulgą zrozumiałem, że to właśnie tę pustkę napełniają gromkie dźwięki i pyszne, szaleństwem oszołomienia i niemal złudą szczęścia dyszące, silne, ludzkie głosy:

Śmierć może jedna oświeci nas,
Lecz jutro walka — więc dzisiaj tu
Zanim cię losu przywali głaz,
Ty wszystką rozkosz wypij co tchu!

Pani Zawiejska odwróciła od fortepianu głowę i palące, czarne oczy utkwiła w oczach mych. Żar nagły i prawie bolesny obudził się w mej krwi. Dźwięki strun, słowa pieśni, światła i barwy, ludzie i przedmioty — wszystko to przemieniło się niepojęcie w jedno mieniące się tęczą koło i zawirowało wokół mnie z szaloną szybkością. Słyszałem:

Ach wypij słodycz z różanych lic,
Miłość jest sztuką i cudną grą!
Piękna — śmierć jutro — lecz nie dbaj nic,
Dziś świeci jeszcze sto słońc, gwiazd sto!

Wirowało dziwne, zawrotne koło, i w oczy moje patrzały palące, czarne oczy. Na fali dźwięków i słów kołysało się szalone zapomnienie, zatapiające beztrosko wszelkie myśli i pamięć i trud i znój i głód nawet, i zapewniające z pijackim zaiste humorem, że dziś... jeszcze świeci sto słońc i sto gwiazd!

* * *

A potem, a potem była czarna, głucha noc i dziecinne, jasne oczy patrzały we mnie dziwnie i z uporem...

* * *

Dziecko mojej „protegowanej„ Józefy ciężko zachorowało. Zawsze źle odżywiane, zawsze nędznie odziane, to znaczy prawie nie odziane,zaziębiło się wreszcie niebezpiecznie i w palącej gorączce rzucało się na ohydnym barłogu. Nie mogłem znieść tego okrutnego widoku.

Trzyletnia dziewczynka, bardzo wątła i drobna, miała prześliczne, niebieskie oczęta, wyraz twarzyczki inteligentny, zarys usteczek miły, jakby uśmiech jasny. Teraz usteczka te były czarne, spalone, oczęta nieprzytomne. Drobne piersi pracowały z ogromnym trudem, świszczący i chrypiący oddech przesycony był żarem, który zresztą opanował całe to bezsilne ciałko.

Było źle.

Sprowadziłem doktora. Wzruszył ramionami i oświadczył, że tu nic nie pomoże. W szpitalu może jeszcze. Zdarza się.

Nie żałowałem pieniędzy. Miałem przecie! Więc małą umieszczono w szpitalu, zaś datki, rozumnie rozdane, zapewniły jej należytą i stałą opiekę. Miałem znowu sposobność podziwiać świetną organizację miasta, w którem za pieniądze nawet (pozornie) czułą opiekę zorganizować można. Wprawdzie tylko przypadek zetknął mnie z nieszczęśliwą matką i z tym zaiste kwiatkiem nędznej ulicy, i w następstwie spowodował leczenie małej, ale... o tem wiedzieć nie muszą czcigodni ojcowie grodu. Nie jest także — podobno — niczyim obowiązkiem ratować od śmierci głodowej trzyletnią córeczkę nędzy. To trudno. Zawsze była nędza i zawsze będzie. Tak mówi homo sapiens w tem mieście. Mnie się jednak zdawało, że jest obowiązkiem człowieka i t. d. a że jestem człowiekiem, ergo... Dosyć. Kropka.

* * *

Ale te, że tak powiem, „sprawy", które mi się ciągle „zdawały" (czy też wydawało mi się tylko że się zdają) szybko uprościły znowu i wyrównały moje położenie, to znaczy, zostałem znowu bez pieniędzy i byłem znowu głodny.

Poczucie sprawiedliwości nakazuje mi wyznać, że jednak „wogóle" akcje moje znacznie poszły w górę, że znowu mogłem grać na stoliku życia, i mieć nawet nadzieję, że do zgrania się do nitki jeszcze bardzo daleko. Bo primo, mieszkanie opłaciłem, secundo, powieść zamówiona, tertio, Turski zgodził się odstąpić mi ubranie na warunkach bardzo dogodnych, na raty. Pyszne, co?

Trochę gorzej było z tą powieścią. Plan istniał, były tam także jakieś już rozdziały, ale nie było na razie ani ochoty, ani warunków do pisania.

I znowu byłem głodny.

Przeżywałem to teraz zupełnie inaczej. Sądzę, że poprostu palący dech miasta zasiał we mnie inne niepokoje i inne pragnienia, że przebyte cierpienia, z których już jasno nie zdawałem sobie sprawy, stworzyły we mnie jakby podświadomy lęk przed ich powrotem, a lęk ten w dziwaczną złość przemieniony różne „przekonywania" nademną wydziwiał, wprawnie i logicznie nawet gadając niby zdrowy homo sapiens, lub niby wyga-dziadunio, pouczający niedoświadczonego smarkacza, jak to żyć trzeba a biedzie się wykręcać.

Znowu zdarzyły się chwile, w czasie których mózg mój zamieniał się w arenę dziwacznej walki, a moja nagłębsza świadomość w walki tej chłodnego obserwatora. Było mi poprostu źle. Zaciężyło mi życie. Niby jarzmo je teraz czułem, niby ciężar gniotący mi głowę, niby grube, tępe ostrze bez przerwy tkwiące w sercu. Był to chwilami ból wyraźnie fizyczny, a chwilami delikatna a mocna sieć, zewsząd mnie oplątująca. Było mi źle.

Miałem dość — u kaduka! — tego dręczącego niepokoju, dość męki, dość zawrotów głowy, dość, dość wszystkiego! Psiakrew! Chciałem żyć! Chciałem mieć czystą bieliznę, czyste mieszkanie, codzień obiad i możność pracy. Żyć! Walczyć, zdobywać, iść przebojem, nie dać się!

Sto gwiazd nam świeci, świeci słońc sto,
Życiem igramy, szaloną grą!
Ach, palący mnie owiał życia duszny wiew!

* * *

A tak często, tak często zwidywały mi się te niebieskie oczy. Poprzez mrok smutku i mrących nadziei — niby gwiazdy dalekie, ludzkiej tesknoty latareńki złote — wybłyskiwały znagła przedemną... i, przysiągłbym, że mnie wzywają!

* * *

...Więc będę szedł znów tą ulicą długą w lamp księżycowem, łagodnem olśnieniu, będę szedł cicho jak tęsknoty smugą, błędny lunatyk, w spokoju, w milczeniu. Tłum mnie ogarnie gwarny, obcy, strojny, miasro mnie weźmie w potworne ramiona, zahuczy żywioł wkoło niespokojny, życia zatętni pieśń zła i szalona! Bogactwo łuną zawrzaśnie ognistą, nędza ukryje straszliwe zębiska, podłość ohydną przeczołga się glistą, nóż zbrodni w mroku przerażeniem błyska! I rozkosz płatna wyjrzy z poza rogu, uśmiechem złudy przeklęta jak zbrodnia, która na każdym czyha tutaj progu, codzień ta sama, i wraz inna co dnia! Miasto wyjawi oblicze straszliwe, zmieni się widzeń przebieg tysiąckrotny, wszystko tu mocne i wszystko tu żywe — a jam jest człowiek tu jednak samotny! O, miasto straszne, dziwne, władne, czarem dyszące dziwnym w oświetleń otoczy — ty będziesz szczęścia mojego bezmiarem — jeśli znów ujrzę jej niebieskie oczy! O, miasto władcze, będę wiernym sługą praw twoich groźnych i oddam ci duszę — lecz mnie zaprowadź mej tęsknoty smugą tam, dokąd przecie iść muszę, iść muszę!

* * *

Ratuję się poezją. Ha! ha! Jeśli to można nazwać poezją czy tylko nastrojem, jeśli można... cóż u licha!... można, nie można... w każdym razie stwierdzić należy, że to rymowanie jest arcy komedją pomyłek... pod fałszywym adresem, samooszukaństwem... Ja i miasto! Miasto oddające mi... ha. ha! ha! Pyszne! O, Boże, jakżeż mi źle!

* * *

Hurra! hurra! hurra! Dostałem posadę. Stałą posadę. Tak jest. Stałą posadę. Trzysta złotych miesięcznie gotówką i różne tam dogodności. Praca codziennie od dziesiątej do czwartej w ślicznem, eleganckiem biurze. A potem swoboda! Swo-bo-da! Życie! Kawiarnia, gazety, książki, teatr, park, spokój, możność myślenia! I jeszcze jedno! Ha! ha! ha! Doprawdy upiłem się tem wszystkiem! Tańczy we mnie i skacze, śmieje się i śpiewa, dźwięczy, dzwoni, huczy, tętni, krzyczy swoboda i życie! Jakieś niesłychanie barwne, huczne koło wiruje! O, głowo, moja głowo! Teatr, park, książki, gazety, papier... fura papieru... morze atramentu... i powieść!

A tak! Będę pisał powieść! Cicho, cichutko, powoli, spokojnie, całym sobą, całą duszą, krwią wszystką! Będę pisał do stu djabłów, bo tak mi się podoba, bo się skończył głód prawdziwy i głodna wędrówka! Tak jest. Skończył się głód prawdziwy! Niech żyje literatura!

(ciąg dalszy nastąpi)

Wiktor Przecławski.

Poezje.

Nakładem naszego wydawnictwa wyszedł tom poezyj Tadeusza N.-Wagnera p. t. „Zaczarowany dom“, bardzo przychylnie przyjęty przez najpoważniejszą krytykę. Dajemy tutaj dwa utwory tego niezwykle pięknego zbioru.

WIECZNEMU PIĘKNU.

... Odpowiedział Anioł Pański: Przecżże pytasz o imię moje, które jest dziwne?
Księga Sędziów, XIII. 18.

Tobą to oczom mym rozpłonął polny mak,
Muskasz korony drzew i pierzchasz niby ptak
Na skrzydłach chwili, która mija;
Lub nagle w inny czas, jawi się nam twój cud,
Gdy śród słonecznych skier, na zmiennem łonie wód,
Twarz marmurowa się odbija.

Jakaż kamienna moc, nielitościwy czar,
Ku tym od ciebie tchnie, którzy z odwiecznych kar
Wciąż czują ową serca ranę —
Kiedy rozpaczy ich giniesz śród woni róż,
Grasz za harmonją fal, gaśniesz w gaśnieniu zórz,
Wiecznie dalekie, niepoznane

Jednakże nikt z najlichszych twoich sług,
Gdy go fatalność pcha, by spłacił ci swój dług,
Nie może rzec, iż jest omamion: —
Zawsze majestat twój tem świetniej rzuca blask,
Im bardziej żądzą drży ku dobru twoich łask
Próżna tęsknota naszych ramion.

WIECZNIE SIĘ RWIESZ...

Wiecznie się rwiesz wśród obcych ścian
Ku niepowrotnym snom...
Wycięty sad.. zdeptany łan,
Spalony dom.

Gdzież znaleźć drugi ojców próg
Milami ziemskich jazd?
Jeden nam cel zgubionych dróg:
Do gwiazd... do gwiazd..

HISTORJA ZAKŁADU LECZNICZO-SZKOLNEGO DLA INWALIDÓW WOJENNYCH W KRAKOWIE,

od 10.VIII 1915 do 31.XII 1923 r.

(ciąg dalszy).

KURS STRAŻY LEŚNEJ.

Podczas wojny światowej lasy uległy w całej Polsce niemal (z wyjątkiem Poznańskiego) wielkiemu zniszczeniu. Przewalające się przez Polskę armje zaborcze cięły lasy ze względów strategicznych na materjał wojenny, opał, a zachłanne Niemcy, uważając Polskę za kraj nieprzyjacielski wywiozły całe masy najlepszego materjału drzewnego z Polski do Niemiec. Lasy pozostawione bez opieki, ponieważ cały personel w gospodarstwach lasowych wcieliły armje zaborcze do swych szeregów, ucierpiały wielce od szkodliwych owadów, grzybów, wpływów atmosferycznych i ludzi.

Chcąc zastąpić pobraną do wojska straż ochronną, którą mimo licznych reklamacyj i przedstawień tylko w znikomej liczbie zwalniano, postanowiła Komenda Szkoły inwalidów w Krakowie z inicjatywy st. radcy leśnictwa p. Wincentego Wobra założyć kurs straży leśnej, celem wyćwiczenia w tym zawodzie inwalidów, fizycznie jeszcze odpowiednio uzdolnionych. Komenda Szkoły zdawała sobie dokładnie sprawę, że skierowana pewna ilość inwalidów na powyższy kurs, po ukończeniu go może oddać cenne usługi społeczeństwu, a nadto zapewnić sobie wcale dostatni byt.

W ten sposób dnia 7 marca 1916 r. otwarto pierwszy kurs straży leśnej w Bielanach koło Krakowa w klasztorze O. O. Kamedułów pod wojskową komendą por. Władysława Grotowskiego, a technicznem kierownictwem st. radcy leśnictwa Wincentego Wobra. Wykładowcami byli zawodowi nauczyciele leśnictwa: plutonowy Edward Stronhel i st. szer. Tadeusz Krzyształowicz. Na kurs zapisało się 45 inwalidów.

Plan naukowy obejmował następujące przedmioty: uprawa lasu, ochrona lasu, botanika leśna, nauka o glebie, łowiectwo, ustawa lasowa i łowiecka, rybołówstwo, taksacja lasu, miernictwo, pierwsza pomoc w nagłych wypadkach, rolnictwo, sadownictwo i wiadomości ogólno-kształcące.

Oprócz nauki teoretycznej zajęci byli uczniowie przy następujących czynnościach praktycznych.

W jesieni: przysposobienie kompostu w szkółce zakładowej, zbiór nasion leśnych,

W zimie: wyróbka drzewa użytkowego i opałowego, czynności przy transporcie drzewa, wyznaczenie zrębów głównych i trzebierzowych, urządzanie polowań kniejowych i polnych, patrolowanie za szkodnikami leśnemi.

Na wiosnę: wyjmowanie, dołowanie i transportowanie sadzonek, sporządzanie i uprawa grządek w szkółkach, szkółkowanie sadzonek, wszelkie metody sadzenia w zrębie, sztubrowanie wierzb koszykarskich, wszelkie metody siewu w szkółkach i na zrębach, zakładanie materjałów pułapowych, celem tępienia szkodników, owadów, zbiór kwiatów drzew leśnych.

Nadto urządzono kilka wycieczek do gospodarstw leśnych wzorowo urządzonych np. w dobrach X. X. Sanguszków żywieckich i t. d.

Dnia 26 listopada 1916 r. odbył się końcowy egzamin pierwszego kursu straży leśnej, który dał wynik bardzo pomyślny pod względem przygotowania do zawodu. Wszyscy wychowankowie otrzymali korzystne posady w majątkach prywatnych i państwowych.

Wobec tych rezultatów, a nadto, ponieważ inwalidzi bardzo chętnie garnęli się do tego zawodu, postanowiono kursa straży leśnej dalej prowadzić.

W grudniu 1916 r. zainteresował się kursami bar. Jan Götz Okocimski, który na pomieszczenie wyjednał budynek Tow. „Sokół" w Brzesku po odrestaurowaniu go własnym kosztem.

Równocześnie przystąpił p. Götz do budowy domu szkolnego na swoim folwarku w Mokrzyskach, do którego przesiedlił się kurs w lecie 1917 r. na stałe i zajmował go aż do oddania kursu Min. Pracy i Opieki Społecznej.

W tym samym czasie przystąpiło kierownictwo zakładu do urządzenia wzorowej szkółki sadzonek leśnych, która dotąd istnieje i może służyć za wzór dla gospoparstw leśnych, nawet dobrze prowadzonych.

Każdy kurs za czasów austr. trwał tylko ośm miesięcy, poczem rozpoczynano następny bez względu na porę roku. W tych 8-miu miesiącach wychowankowie nie mieli sposobności przypatrzeć się całorocznej pracy w gospodarstwie leśnem przedsiębranej, gdyż w każdym kursie brakowało jednej pory roku.

To też natychmiast po powstaniu Polski dotychczasowe kursa 8-miesięczne przemieniono na kursa jednoroczne i dostosowano odpowiednio plan naukowy.

Poziom kursów postawiono odrazu względnie wysoko, inicjatorzy bowiem zdawali sobie dokładnie sprawę, że wychowankowie zajmą stanowisko w gospodarstwie społecznem odpowiedzialne, a osoby

ich w służbie są ochraniane specjalnemi ustawami karnemi. To też na kursa te przyjmowano tylko inwalidów umiejących pisać i czytać i znających główne cztery działania rachunkowe, a nadto podczas kursu przedewszystkiem wpajano w wychowanków posłuszeństwo, uczciwość i pracowitość, które to zalety charakteru muszą każdego strażnika leśnego cechować.

W grudniu 1916 r. po odejściu por. Grotowskiego na front i po ustąpieniu p. radcy Wobra — objął kierownictwo wojskowe i techniczne ppor. Józef Richter, starszy komisarz leśnictwa.

W listopadzie 1917 r. odszedł ppor. Richter, na miejsce zaś jego przydzielono kpt. Karola Schleicha, który objął komendę oddziału, zaś p. Wiktor Domański komisarz leśnictwa objął kierownictwo techniczne kursów.

W lipcu 1918 r. objął kierownictwo kursów kpt. Marjan Winiarz, zaś fachowe komisarz leśnictwa Jarmulski Kamil.

Po odejściu kpt. Winiarza na front w styczniu 1920 r. objął komendę kursu por. Alfred Farny, którą to funkcję spełniał do czasu oddania kursu Min. Pracy i Op. Społ.

Na stanowiskach wykładowców zaszły zmiany w lecie 1920 r. Wykładowcą w zakresie leśnictwa został zamianowany leśniczy Zdzisław Sykutowski, zaś do nauk ogólno-kształcących i rolnictwa zaangażowano p. Jana Rogozińskiego, kierownika miejscowej szkoły lud. W sierpniu 1921 r. w miejsce p. Sykutowskiego zaangażowano p. Broniewskiego, pozostającego na tem stanowisku aż do oddania szkoły Min. Pracy i Op. Sp.

Tak wojskowi, jak kierownicy kursów, względnie wykładowcy odpowiedzieli swojemu zadaniu w zupełności i ku zupełnemu zadowoleniu tak przełożonych jak i wychowanków.

To też nie było wypadku, aby inwalidzi podnosili przeciw swoim wychowawcom jakiekolwiek zarzuty, a nawzajem przełożeni byli zawsze zadowoleni z postępów i zachowania się inwalidów.

Kuratorem, względnie inspektorem kursu był do przewrotu delegat b. gal. Namlestnictwa (jeden z radców leśnictwa zaś od r. 1920 p. p. Stanisław Sokołowski, prof. leśnictwa przy Uniwersytecie Jagiell.

Na kursie straży leśnej było zawsze wiele zgłoszeń, lecz nie wszyscy odpowiadali wymaganym warunkom. Uczestnicy kursów musieli umieć dokładnie czytać i pisać, cztery działania rachunkowe i odpowiadać warunkom pod względem fizycznym i moralnym. To też zgłoszeni inwalidzi przed przyjęciem byli egzaminowani, lub też po przyjęciu ich po kilkutygodniowej próbie — o ile nie nadawali się — byli z kursów usuwani. Dzięki tej selekcji absolwenci tych kursów w 90% byli ludźmi pewnymi i można ich było pracodawcom polecać.

Do roku 1916 pobrało naukę i zdało egzamin 32 inwal. poczem do r. 1920 rocznie przeciętnie było 36 inwal., więc razem 152 inwalidów.

W r. szkolnym 1920/21 rozpoczęło naukę 32 inwalidów, z tych zdało egzamin 23 — w r. 1921/22 przyjęto na kurs 40, z tych przeniesiono na inne kursa 3, zrezygnowało ze szkolenia 6, do szpitala odeszło 4, zaś egzamin zdało 27 inwalidów. Razem naukę na tym kursie pobierało 235 inwalidów.

Każdy kurs kończył się egzaminowaniem wychowanków przez komisję złożoną: z Kuratora kursu (zawsze fachowiec leśnik), delegata Kraj. Komisji Opieki nad inwalidami, wzgl. po zlikwidowaniu tejże i utworzeniu Gen. Eksp. S. O. M. S. Wojsk. z szefa tejże, Komendata Szkoły inwalidów oraz wykładowców.

Po złożonym egzaminie wychowankowie otrzymywali świadectwa wedle uzdolnienia.

Ukończenie kursu i dobre świadectwo kwalifikowało inwalidów do objęcia posad strażników leśnych, a nawet podleśniczych w lasach rządowych i prywatnych. Około 80% absolwentów kursów straży leśnej znajduje się do tej pory na posadach w leśnictwie, a w samej puszczy Białowieskiej znajduje się około 30 tu wychowanków.

Od założenia kursow straży leśnej do czerwca 1919 r. były one finansowane wspólnie przez władze wojskowe i Krajową Komisję Opieki nad inwalidami w ten sposób, że wojskowość utrzymywała wychowanków i personel wojskowy, zaś Kraj. Komisja opłacała personel cywilny i łożyła na koszta samego szkolenia.

Od czerwca 1919 r., w którym to czasie Kraj. Komisja została zlikwidowana, a majątek cały przejęło Min. S. Wojsk. kursy te utrzymywane i finansowane pod każdym względem przez M. S. Wojsk.

W marcu 1922 r. rozp. Min. S. Wojsk. Dep. San. L. 39216/III. Sup. Inw. oddano tak kurs straży leśnej w Mokrzykach, jak kurs rolniczo-ogrodniczy Min. Pracy i Opieki Społ. Mimo tego, kursa te były dalej prowadzone przez Komendę Zakładu leczniczo-szkolnego aż do lipca 1922 r.

W tym dniu definitywnie objęło Min. Pracy i Opieki Społ. kursa wraz z bogatym materjałem kwaterunkowym na 60 ludzi, materjałem gospodarczym t. j. inwentarzem żywym i martwym, w tem 8 koni, 5 krów, 4 świnie i wreszcie z bogatym materjałem szkolnym—w tem Muzeum Szkoły lasowej.

Min. Pracy i Op, Społ. otworzyło te kursa dopiero w styczniu 1923 r. i prowadzi je dalej w królewskim zamku w Niepołomicach.

KURSA PRZEMYSŁOWE.

Szkoła inwalidów w Krakowie rozpoczęła się od uruchomienia warsztatów rzemieślniczych, przytem wielkiem ułatwieniem dla założycieli tych warsztatów było tuż przed samą wojną założone Miejskie Muzeum Przemysłowe, gdzie znaleziono i ludzi ukwalifikowanych do prowadzenia tych kursów i gotowe warsztaty pracy.

Na kursa te zgłaszali się inwalidzi, którzy przed wojną uczyli się już jakiegoś rzemiosła, lecz przeważnie byli to wyrobnicy rolni, którzy wskutek swego inwalidztwa nie mieli widoków do wydatnej pracy na roli.

Rozdział do pojedynczych warsztatów uskuteczniano w czasie komisji porady zawodowej, o której już wyżej wspomniałem i kierowano się:

1) względami terapeutycznemi, stosowano gimnastykę i naukę uzupełniającą aż do chwili, gdy inwalida odzyska pełnię sił koniecznych do wykonywania swego pierwotnego zawodu.
2) względami fizycznemi, jeżeli chodziło o naukę nowego rzemiosła, gdy inwalida z powodu kalectwa był niezdolnym do swego pierwotnego zawodu.
3) wskazany względami socjalnemi, jeżeli chodziło o inwalidę nie posiadajacego żadnego zawodu kwalifikowanego — był wyrobnikiem dziennym.
4) szczególne zamiłowanie inwalidy do jakiegoś rzemiosła. Czas trwania nauki był zależnym od indywidualnego uzdolnienia ucznia — początkowo była nauka rozłożona przeciętnie na 1 rok, potem na dwa lata.

Że kursa przemysłowe rozwinęły się tak szybko i osiągnęły tak wysoki poziom, to było zasługą tych ludzi, którzy stali na czele tych kursów.

Pierwszym kierownikiem technicznym Oddziału przemysłowego był inż. Stansław Till, ówczesny dyrektor Muzeum przemysłowego, jego zaś zastępcą był od stycznia 1916 r. inż. Eugenjusz Tor, obecny dyrektor Muzeum przemysłowego.

W maju 1916 r. inż. Till ustępuje, a jego miejsce zajmuje inż. Tor i prowadzi kierownictwo Oddziału przemysłowego do r. 1919.

Inż. Tor, fachowiec, człowiek pełen zapału i zamiłowania dla swego zawodu, wypracowuje plany kursów i stawia odrazu szkołę na wysokim poziomie, szczególnie w kierunku artystycznym.

Pomocnikami jego byli technik Stanisław Wilk jako zastępca i dzielny współpracownik.

Kierownikiem artystycznym Oddziału przemysłowego był ar.ysta Kazimierz Witkiewicz, który rysował sam wzory kilimów, robót cyzelerskich, oraz prowadził sam naukę rysunków i t. d.

O poziomie artystycznym tych wyrobów świadczą zbiory Muzeum przemysłowego w Krakowie, dalej świetna wystawa robót inwalidzkich w Krakowie z wiosną 1917 r. dział krakowski na ogólnej wystawie w Wiedniu w jesieni tegoż roku i szeregi opisów i illustracyj w wielu czasopismach niemieckich i czeskich, wreszcie dział krakowski na wystawie w Gandawie w r. 1923.

Zachętą dla inwalidów do pracy była działalność Krajowej Komisji Opieki nad inwalidami, która ze swoich funduszów zakupywała urządzenia warsztatów dla wszystkich rzemieślników za pośrednictwem inspektora Witolda Ostrowskiego, kierownika opieki społecznej i jego pomocnika adwokata dr. Edwarda Sternbacha ówczesnego sierżanta.

Dla inwalidów legjonistów na ten sam cel złożył osobny fundusz znany filantrop Henryk Loewenfeld, którym to funduszem zarządzał Komitet Opieki Społecznej, później Generalna Ekspozytura.

Inwalidzi wyzwoleni w swoim zawodzie przy opuszczaniu szkoły otrzymywali urządzenie warsztatów, jak stolarskich, ślusarskich, zegarmistrzowskich, kilimkarskich, krawcy i szewcy otrzymywali maszyny i t. d.

Od początku szkoły zorganizowano następujące warsztaty:

1) stolarski,
2) tokarski,
3) snycerski,
4) kołodziejski,
5) bednarski,
6) ślusarsko-mechaniczny
7) tokarzy żel. i odlew. żel.
8) koszykarski,
9) kowalski,
10) szczotkarski,
11) szewski,
12) krawiecki,
13) tkacki i kilimk.
14) zegarmistrzowski,
15) drukarski,
16) introligatorski,
17) rytowniczy i cyzel.
18) fotograf. i litograf.,
19) fryzjerski i peruk.,
20) ramkarsko-pozłotniczy
21) malarzy pokojowych.

Co do frekwencji inwalidów na tych kursach — to o ile wykazują istniejące daty, stwierdzić można, że do 31.XII 1916 r. było 825 inwalidów (Sprawozdanie Wydz. Wyk. Kraj. Komisji Opieki nad inwalidami). (ciąg dalszy nastąpi).

LEGJON POLSKI W TURCJI.

(na terenie azjatyckim).

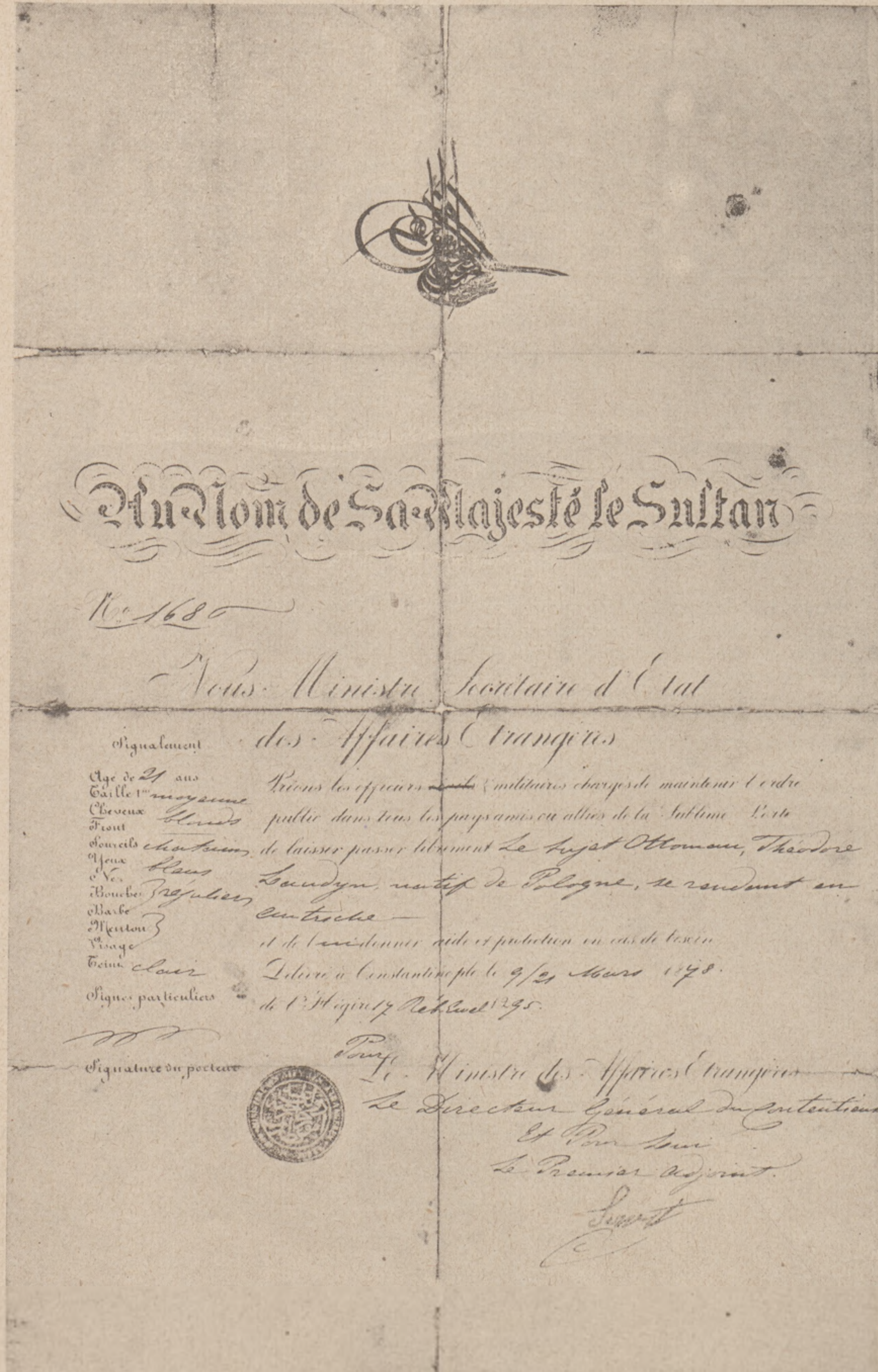
ZE WSPOMNIEŃ OFICERA TEGOŻ LEGJONU TEODORA LAUDYNA.

Ze wstępem Jana Grzegorzewskiego.

(ciąg dalszy).

Tymczasem wszakże europejska część legjonu, w morderczych walkach zdziesiątkowana, po utracie szefa swego majora Jagmina śmiertelnie ranionego, w strzępach swoich wcieliła się do jednej z brygad tureckich i rychło unicestwiła się. Pozostał oddział drugi, wysłany na teren azjatycki—do Muchtarabaszy.

Johnston czynił gorączkowe zabiegi o przygotowanie odsieczy dla Plewny. W tym celu w polskim domu na Bebeku pod Konstantynopolem u państwa



Au Nom de Sa Majesté le Sultan

No. 1680

Nous Ministre Secrétaire d'État
des Affaires Étrangères

Signalement

Age de 21 ans
Taille 1m moyenne
Cheveux blonds
Front
Sourcils châtains
Yeux bleus
Nez
Bouche régulière
Barbe
Menton
Visage
Teint clair
Signes particuliers

Signature du porteur

Prions les officiers ~~civils~~ & militaires chargés de maintenir l'ordre public dans tous les pays amis ou alliés de la Sublime Porte de laisser passer librement le sujet Ottoman, Théodore Laudyn, natif de Pologne, se rendant en Autriche —
et de lui donner aide et protection en cas de besoin.
Délivré à Constantinople le 9/21 Mars 1878.
de l'Hégire 17 Rebi-ul-evvel 1295.

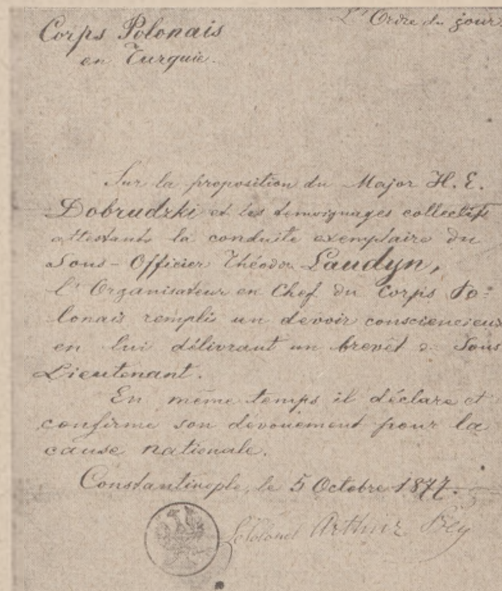
Pour Le Ministre des Affaires Étrangères
Le Directeur Général du Contentieux
Et Pour lui
Le Premier Adjoint.

Groplerów bawiącego węgierskiego jenerała Klapkę wysłał do Siedmiogrodu dla zwerbowania i zorganizowania korpusu Szeklerów, zakupiwszy dla niego broń w Belgji, a jednocześnie skłonił do wysłania okrętami 10-tysięcznego korpusu tureckiego na Kaukaz, na tyły armji W. księcia Michała z dążnością wywołania też tam powstania górali, żywiących jeszcze tradycję po Szamilu. Jeden z pułków ekspedycji powierzono polakowi — Murad bejowi Piotrowskiemu, pułkownikowi kawalerji, wujowi jenerałowej Bronisławowej Dąbrowskiej, nie bez nadziei i w tej ekspedycji zdobycia zbiegów i jeńców polskich i może uformowania drugiego legjonu.

W Konstantynopolu pozostał sam Artur bej z nieodstępnym doradcą swoim — majorem Lisikiewiczem, wołyniakiem, b. oficerem pułku kozaków Sadyka-baszy i następnie adjutantem sułtana Abdulazisa, pozostał przy depôt i rezerwie legjonu, składającej się z paru dziesiątków żołnierzy i kilku oficerów. Wszystko to mieściło się w t. zw. polskim chanie na Pera, starem piętrowem domostwie, którego parter zajęty był na stajnię, a dwuizbowe piętro służyło na sypialnię i jadalnię legjonistów. Żywili się oni tu ze wspólnego kotła, nie zawsze omaszczonej zawartości.

Gdy na gruzach konfederacji Lwowskiej powstał we Lwowie tajny narodowy rząd polski z Adamem ks. Sapiehą na czele, bardziej pochłonięty agendą polityczną niż legjonem, gdy i opiekun tego osobistego — Jonston wyjechał do Europy również dla agend politycznych, Artur-bej, minowany nieraz przez malkontentów (w rodzaju t. zw. pułkownika Bogdanowicza, gloryfikatora Herzmainskiej w prasie warszawskiej), pragnących zająć miejsce szefa legjonu bez starań i zasług odpowiednich, a materjalnie pozostawiony własnym siłom, choć otrzymywał od rządu tureckiego t. z. taimy (= tainy) (coś w rodzaju w obecnej armji polskiej t. z. deputatów, ale bezpłatnych) dla owego personelu rezerwowego, gdy takowe nie wystarczały, dokładał z własnej i przyjaciół osobistych kieszeni, a codziennie wieczorem zabierał z sobą i w korzennych sklepach znajomych sobie i przychylnych kupców greckich, ormiańskich, żydowskich żywił ich konserwami rybnemi, serem, oliwkami, hałwą, podpłomykami chleba oczywiście na kredyt, opłacając go następnie gotówką ze sprzedaży własnych i żoninych klejnotów i innych ruchomości.

Podczas najgorszych walk pod Plewną, gdy z wycieczki tamże wróciły do Konstantynopola, pani Herzmaińska zakomunikowała mi poufnie o utworzeniu się spisku na obalenie Sułtana. Do spisku oprócz niej miała należeć z kobiet żona W. Cogot'ta, a z mężczyzn minister policji Hamdi-basza. Propozycję przystąpienia do spisku odrzuciłem, natomiast dałem słowo zatrzymania tajemnicy przy sobie. Snać jednak niedowierzano mi i Hamdi-basza obawiał się o głowę swoją, bo w kilka dni potem wpadł do mnie zastęp policjantów z wyższym urzędnikiem policyjnym na czele, przeprowadził rewizję papierów moich i zabrawszy takowe wraz ze mną odwiózł przez Bosfor na drugą stronę do ministerstwa policji, mimo podwójnego protestu mego tak z tytułu będącej między papierami kopji memorjału mego o sprawie polskiej, mającego być znanem poufnie tylko samemu W. Wezyrowi, jako też z racji nieobecności delegata konsulatu austrjackiego w myśl konwencyj konsularnych (aczkolwiek podówczas nie miałem jeszcze obywatelstwa austrjackiego, ale przysługiwało mi prawo opieki konsulatu z tytułu posiadanego paszportu austrjackiego, w który byłem zaopatrzony dzięki wszechwładnemu redaktorowi Dobrzańskiemu i prezesowi koła polskiego w Wiedniu — Grocholskiemu). Dla zapoznania się z papierami moimi tureckiemi i francuskiemi wystarczał personel ministerstwa policji, do polskich wezwano polaka Drozdowskiego, wójta zabosforskiej kolonji polskiej Adamówki, jako zaufanego ministerstwa policji. Odosobniony w przydzielonym mi apartamencie, w ciągu nocy dwukrotnie częstowany czarną (którą uważając za podejrzaną pozostawiłem nietkniętą), zostałem następnego dnia rekla-


Corps Polonais
en Turquie.

L'Ordre du jour.

Sur la proposition du Major H. E. Dobrudzki et les témoignages collectifs attestant la conduite exemplaire du Sous-Officier Théodor Laudyn, l'Organisateur en Chef du Corps Polonais remplit un devoir consciencieux en lui délivrant un brevet de Sous-Lieutenant.

En même temps il déclare et confirme son dévouement pour la cause nationale.

Constantinople, le 5 Octobre 1877.

Colonel Arthur Bey

mowany i przez adjutanta W. Wezyra i przez austrjackiego vicekonsula Wysockiego (późniejszego posła do Rady Państwa w Wiedniu), który mnie odwiózł do mieszkania mego, rychło potem przezemnie opróżnionego.

Marszałek (muszyr) Frajnd za przegraną w wąwozie Duga bitwę z Czerwonogórzami (a spowodowaną przez ucieczkę bataljonów tureckich) oddany pod sąd i trzymany w domowym areszcie, na skutek listu naszego do Kraszewskiego i prośby tego ostatniego do królowej Małgorzaty włoskiej, za wstawieniem się tejże — przywrócony do łaski sułtańskiej i mianowany nawet marszałkiem nadwornym, zdawał się być tym polakiem, na którego słusznie rachować mieliśmy prawo w zabiegach nowych ku podniesieniu sprawy polskiej, wznowieniu legjonu i utworzeniu kadr dla armji polskiej. Przy braku wszakże z jego strony energji, na stanowisku zresztą chwiejnem, które zajął był za późno dla nas, doznaliśmy zawo-

du. Na dworze sułtańskim przeważył wpływ Saida, przezwanego Małym i Mahmuda-damada (szwagra sułtańskiego) baszy, obu zwolenników Moskwy. Pod ich wpływem i Wielki Wezyr obojętny względem sprawy polskiej, której należycie zrozumieć nie był w stanie, gdy ostatecznie nie zgadzał się na odturczenie pułków Sadyka, a dla powiększenia legjonu, uposażenia go lepszego i dla innych punktów memorjału żądał rękojmi od władzy, rownorzędnej jego rządowi, gdy za taką władzę bodaj nominalną przedstawiłem mu tajny rząd Sapiechy, uważałem misję swą w dotychczasowych agendach za skończoną i zwróciłem się w innym kierunku.

Obudzić szlachetniejsze instynkty wolności w potomkach kozaczyzny zaporoskiej, a przez nią podnieść lud rusko-ukraiński do walki z Caratem, — była to myśl, która mnie zaprzątała od wczesnaj młodości, pojonej romantyzmem szkoły polsko-ukraińskiej (Bohdana Zaleskiego, Goszczyńskiego, Olizarowskiego i w. in. nie mówiąc o wcześniejszym Malczewskim) i pielęgnowanej miłością dla ludu tego, dla rycerskich aspiracyj Zaporoża i jego świetlanych przedstawicieli — Sahajdacznego, Wyhowskiego, Mazepy. Od jednego z pozostałych starych ze szkoły Zoitarda i z b. orszaku emira Rzewuskiego (Zołotoji borody) uczyłem się gry na teorbanie, przez stare panny u mogiły Perepjatychy ironicznie z tego powodu przezwany bardem nadsłuckim. Pisałem wiersze ukraińskie, posyłałem ulubione mi nowele Marka Wowerka (Markowiczowej) poddając przekład pod pobłażliwą ocenę Seweryna Goszczyńskiego we Lwowie, gdzie też garnąłem się do „Sioła", wydawanego przez Paulina Swięcickiego zapalonego ukrainofila, którego rozprawa „Diji ukrainskoji literatury XIX wiku" stało się wzorem piękności języka literackiego. Ruskie prace swoje wydawał pod pseudonimem Pawła Swej, albo Stacherskiej) i redagowanego w polskim i ruskim języku; jako rzeczoznawca pomagałem w wydaniu prac i pamiętnika „Padury" a Agotonowi Gillerowi w wydaniu portretu Szewczenki, narysowanego przez Bronisława Zaleskiego na wspólnem z tym poetą wygnaniu.

Popularyzowałem Szewczenkę wśród polaków, miewałem o nim odczyty na prowincji: w Carogrodzie zaś usiłowałem galwanizować zapadającego w otchłań marazmu fizycznego i duchowego—poetę Berwińskiego (b. adjutanta i sekretarza Sadyka), aby z nim i Lisikiewiczem i resztkami oficerów sadykowych—w razie oporu W. Porty do oddania nam obu pułków Czajkowskiego — zorganizować oddzielny legjon ukraiński z resztek żołnierzy Sadykowych, i naszego zaciągu na Dobrudży i w Małej Azji, i rzucić go na Kaukaz z ekspedycyjnym tamże korpusem Tureckim, albo niezależnie od niego — oddzielnym okrętem nad Kubań dla zrewoltowania osiedlonych tam potomków zaporoskich. Sam też osobiście zrywałem się jechać najpierw do Kulisza, aby przy pomocy ukrainofilskich krewnych moich w Czernihowszczyźnie (gdzie też matkę, siostrę i rodzinę miałem) zniewolić do zorganizowania tajnego przedstawicielstwa Ukrainy, a następnie udać się na południe do Połtawszczyzny, Charkowszczyzny i Ekaterynosławszczyzny, aby tam za pośrednictwem przyjaciół naszych (a w ich liczbie była też rodzina Borzejków, która jeszcze z czasów dziecięctwa mego była od matki mojej odkupiła jej posiadłość pod Żytomierzem (Krośne) zorganizować i wywołać ruch zbrojny, sięgający poprzez ziemie kozaków dońskich aż po Kubań. W planie owym kierowałem się tą myślą przewodnią, że ruchem zbrojnym zadnieprzańskim nietylko oszczędziłoby się Polsce ruchu przedwczesnego, a mimo to stworzyłoby się dywersję dla Turcji na niekorzyść Caratu, ale i otwarłoby się wrota samowiedzy i wolności dla Ukrainy; a choćby ruch ten nie przyniósł aktualnych na razie korzyści politycznych i militarnych, to przez prostą opozycję przeciw rządowi carsko-moskiewskiemu, wywołując prześladowania ludności ukraińskiej, przeprowadziłby ją przez chrzest męczeństwa i krwi, a w ogniu tym oczyściłaby się i wyszlachetniała dusza jej, jak się czyściła i szlachetniała dusza Polska, i z prostej nieświadomej masy etnicznej przez uświadomienie poprowadziłoby się ją na wyżyny narodowości i poświęceń patrjotycznych.

Gdy się zwierzyłem z temi planami i myślami Johnstonowi, z właściwą mu pochopnością entuzjastyczną zapalił się do nich i już w marzeniach swoich widział w ogniu całe Zadnieprze, a zamiast znękanej i ostrożnej Polski — impet szalonej dywersji Ukraińskiej, zgubnej dla caratu na tyłach jego armji bałkańskiej i kaukaskiej. Oparł się jednak stanowczo wyjazdowi memu za Dniepr w przekonaniu, że mnie tam łacno zastąpić zdołają mogący się wysłać agenci, a ja tymczasem będę potrzebny do pertraktacji z Koszutem w Turynie, z jenerałem Wróblewskim w Genewie, wreszcie z Garybaldczykami i patrjotami włoskiemi w Rzymie (za pośrednictwem Siemiradzkiego), tudzież z Watykanem (gdzie stale czuwał Kulczycki (za pośrednictwem ociężałego kardynała Ledóchowskiego i jeszcze bardziej — ruchliwego adjutanta przy kardynale Franchim monsignora Czackiego) (późniejszego kardynała) z którego rodziną na Pobereżu łączyły mnie stosunki matki mojej z Zaleskich i wuja Dr. Jakóba Zaleskiego w Mohilowie nad Dniestrem, stolicy Pobereża.

Jakoż—wraz z odjazdem moim na Zachód wysłani zostali agenci za Dniepr z pismami i instrukcjami. Niewielka z nich się okazała pociecha — zarówno gwoli trudności wyboru ludzi odpowiednich do agitacji, których nie było pod ręką, jak i braku czasu i środków działania. Nie mniejszego zawodu doznano od ludności i wodzirejów ukraińskich, niedorosłych do zadań im stawianych, a których psychika tylko w romantyźmie naszym młodzieńczym miała i usprawiedliwiała pomstę. Bądź co bądź — skończyło się wszystko na niewyraźnej ruchawce chłopów w Kaniowszczyźnie i Postawszczyźnie, tudzież aresztowaniu kilkunastu osób z inteligencji ukraińsko-ruskiej i ukraińsko-polskiej, wśród której padł ofiarą i siostrzeniec mój, prawie rówieśnik mój, w Czernihowszczyźnie, zapalony przyjaciel Ukrainy.

Nie lepiej powiodło się z zaciągiem Szeklerów, który pochłonął niemało trudów, a jeszcze więcej pieniędzy. Na pokrycie kosztów odnośnych Johnston, wyczerpany już z miljonów swoich, sprzedał wspaniałą bibljotekę własną i jeszcze wspanialszą galerję obrazów. Rząd austrjacki, wystawiwszy carte blanche caratowi moskiewskiemu do gospodarki we wschod-

nich Bałkanach, a zwłaszcza w Bułgarji za cenę wpływów w zachodnich i okupacji Bośni i Hercegowiny, rozpędził Szeklerów i skonfiskował wiezioną dla nich broń z zagranicy.

Plewna upadła, ta Plewna osmanowa, na którą w planach i pracach naszych tak wiele niebezpodstawnie liczyliśmy.

— — — — — — — — — — — — —

Rozpoczęły się represje moskiewskie, ściganie i wieszanie emigracji polskiej w Bułgarji, nie bez donosów kilkunastu zbałamuconych bułgarów, a ratunku ofiar wstawiających się za niemi pani Suchadeckiej, córki Sadyka-Czajkowskiego, cieszącej się posłuchami u moskali—dzięki odstępstwcm ojca. Jakby w odwet za taką akcję moskiewską—na czele zbrojnego przeciw traktatowi San-Stefańskiemu ruchu stanął anglizowany polak, a raczej spolonizowany anglik Saint Clair, działający w myśl sprzysiężenia, zorganizowanego w Stambule przez Ali-Suawi efendjego, który w pałacu czeragańskim internowanego eks-sułtana Murada intronizował.

Tymczasem legjon polski na terenie azjatyckim, po krwawych walkach Muchtara-baszy, niekiedy zwycięskich i pozyskujacych mu tytuł gaziego (niezwyciężonego) dzieląc z nim losy wojny, krwawił się jeszcze w swych resztkach, zmuszony w końcu do złożenia broni i rozwiązania się na tułactwo bezdomne swych członków.

To wczechstronne manifestowanie się polaków w wojnie ówczesnej przeciw caratowi — zarówno militarne, jak polityczne i konspiracyjne wyrwało z ust inicjatora wojny ówczesnej — janerała Ignatjewa następujące słowa Kassandrowe, wyrzucone w gronie blizszych rodaków jego:

„Zobaczycie, panowie, że polacy przyprawią nas kiedyś o zgubę".

Pierwszy opiekun i rzecznik legjonu—Johnston nie długo przeżył likwidację wojny bałkańskiej: Trawiony rozczarowaniem i chorobą piersiową umarł na rękach zaślubionej już podczas wojny żony i umarł prawie w niedostatku.

(Ciąg dalszy nastąpı).

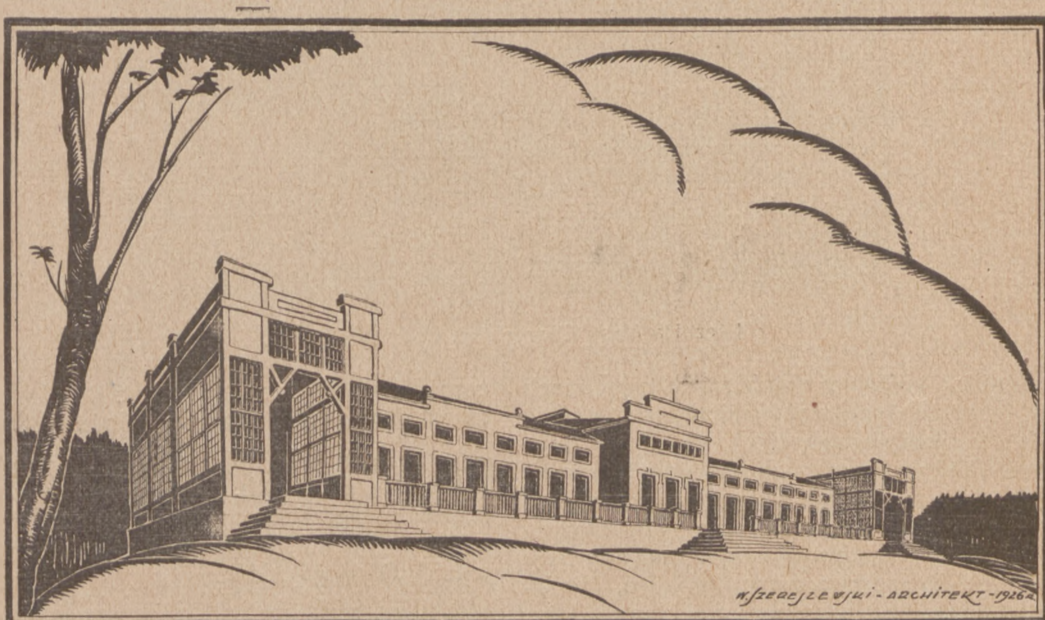
Działalność Kas Chorych w Polsce.

I.

KASA CHORYCH M. ŁODZI.

W poprzednim artykule zamieszczonym w „Polska Inwalidom" wskazywaliśmy, iż do najważniejszych zadań Kasy Chorych m. Łodzi na najbliższą przyszłość należy zapewnienie ambulatorjom lokali odpowiednich pod względem rozmiarów i warunków higjeny.

Działalność łódzkiej Kasy Chorych zaznaczyła się w roku ubiegłym osiągniętemi w tej dziedzinie poważnemi rezultatami. Na zakupionych w roku 1925 rozległych terenach leśnych w Tuszynku Poparafjalnym wzniesiony został pierwszy pawilon dla dzieci chorych na początkującą gruźlicę płucną.



Pawilon Kasy Chorych m. Łodzi w Tuszynku, przeznaczony dla dzieci, zagrożonych gruźlicą.

Pawilon, posiadając 75 mtr. długości i 22 mtr. szerokości zawiera 6 sal sypialnych, sale jadalne, odpowiednią ilość pokojów dla personelu, umywalnie, wanny, prysznice, klozety. W budynku tym znajdzie pomieszczenie zgórą 100 dzieci.

Według zamierzeń Zarządu Kasy dalsze serje robót obejmą budowę 6 wielkich pawilonów przeznaczonych dla chorych płucnych, ozdrowieńców oraz na kolonje letnie dla dzieci, młodzieży i dorosłych.

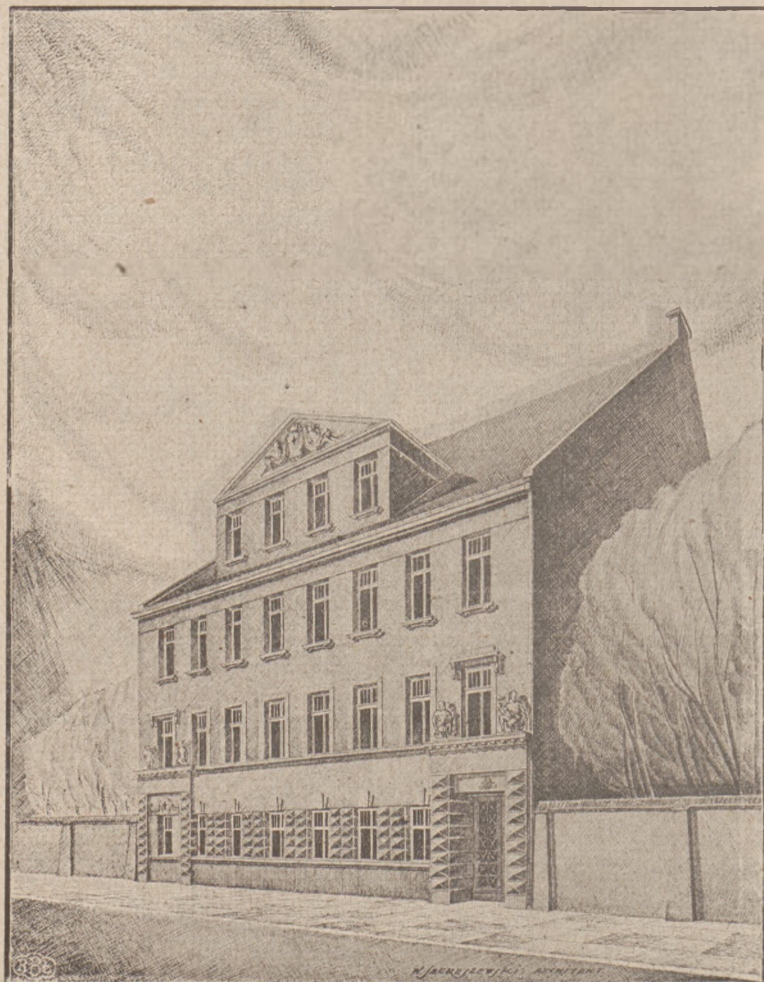
W pobliskim fabrycznym Zgierzu, mieszczącym większe skupienie robotnicze, Kasa chorych zakupiła niewykończony 3-piętrowy budynek, który po dokonaniu gruntownej przeróbki w najbliższych tygodniach jako wzorowa lecznica typu poliklinicznego zostanie oddany do użytku ubezpieczonych.

Również w Aleksandrowie, posiadającym rozwinięty przemysł pończoszniczy Kasa Chorych wybudowała gmach całkowicie odpowiadający tamtejszym potrzebom, do którego zostaną przeniesione gabinety lekarskie i pokoje dla administracji oddziału, mieszczące się dotychczas w zupełnie nieodpowiednim lokalu.

W roku bieżącym Kasa dodatkowo wzniesie pomieszczenie dla zakładu kąpielowego, w którym ubezpieczeni na miejscu będą mogli otrzymywać z polecenia lekarza kąpiele lecznicze.

Najdonioślejszem jednak wydarzeniem w życiu instytucji będzie przystąpienie na wiosnę roku bieżącego do budowy dwóch wielkich lecznic w południowej dzielnicy miasta — na Chojnach i w północnej — na Bałutach. Lecznice te obliczone na udzielanie przez każdą nie mniej, niż 2 tysiące porad dziennie, kosztować będą około 5 miljonów złotych.

Fundusze na rozpoczęcie tych budowli Kasa Chorych częściowo już posiada. Czerpać je będzie narazie z kapitału zapasowego, na który Zarząd obowiązany jest potrącać 10% z bieżących dochodów, co wynosi 1.200 do 1.300 tys. złotych rocznie. Pozatem Kasa powinna otrzymać od Skarbu Państwa jako zwrot za świadczenia dla położnic 800 tysięcy złotych.



Lecznica Kasy Chorych m. Łodzi w Zgierzu.

Ażeby jak najwydatniej rozszerzyć świadczenia dla ubezpieczonych, Zarząd będzie dokładał usilnych starań zmierzających do ograniczenia wydatków administracyjnych, które nie powinny wynosić więcej, niż $7\frac{1}{2}$% dochodów.

Urzeczywistnienie wszakże wszystkich planów i zamierzeń Zarządu Kasy uzależnione jest od środków finansowych instytucyj, które znów pozostają w prostym stosunku do stanu pracy w przemyśle włókienniczym.

II.

NOWA PLACÓWKA LECZNICZA POW. KASY CHORYCH WE LWOWIE.

Przezwyciężając liczne trudności Zarząd Powiatowej Kasy Chorych we Lwowie zdołał własnemi funduszami urządzić w gmachu przy ul. Król. Jadwigi 4 piękne, duże ambulatorja, których poświęcenie odbyło się się 12 stycznia r. b.

Poświęcenia dokonał ks. proboszcz Siegmunt poczem w imieniu Zarządu powitał gości prez. Koeningsfeld. Z przemówienia jego dowiadujemy się, że Powiatowa Kasa Chorych posiada dotychczas jedno ambulatorjum chorób wewnętrznych przy ul. Sakramentek № 4. Obecnie z powodu wzrostu liczby ubezpieczonych członków Zarząd zdołał urządzić ambulatorja według wymagań najnowszej techniki. Ambulatorja te mieszczą się w 9 dużych pokojach dzielą się na: wewnętrzne, dziecinne, chirurgiczne, ginekologiczne, pokój infekcyjny oraz osobny oddział dla referenta sanitarnego. Powiatowa Kasa Chorych zatrudnia 23 lekarzy, w tem kilku specjalistów.

Następnie przemawiali: prez. Rady Kasy Chorych Stanisław Halewicz, prezes robotniczych Zw. Zaw. Żelaszkiewicz, dyr. Urzędu Ubezpieczeń dr. Szkodziński i dyr. dep. Zdrowia wojew. dr. Mikołajewski. Mówcy wyrażając Zarządowi uznanie za sumienne i piękne urządzenie ambulatorjów wezwali go do dalszej owocnej pracy dla dobra i rozwoju tej instytucji.

Po szczegółowem zwiedzeniu ambulatorjów przez zaproszonych przedstawicieli władz rządowych i samorządowych, lekarzy, zrzeszeń robotniczych, rękodzieła i prasy — Zarząd podejmował gości śniadaniem.

O ile nam wiadomo, Zarząd z inicjatywy Dyrektora Kasy p. I. Drzymuchowskiego postanowił rozszerzyć dalsze ambulatoryjne leczenie członków Kasy przez urządzenie przychodni wenerycznej, dentystycznej oraz specjalistycznej dla leczenia Roentgenem, Soluksem, diatermią i lampą kwarcową.

DUCHOWA ORGANIZACJA PRACY.

Pracować! Praca! Cóż może być napozór bardziej naturalnego, prostego, samo przez się zrozumiałego? Czyż tego jeszcze trzeba się uczyć? Uczyć się trzeba języków, historji, matematyki, rzemiosł, mechaniki i t. p., ale uczyć się pracy? uczyć się pracować? jest to rzeczą, właściwie, zupełnie zbyteczną. Tak myślano do niedawna jeszcze u nas, czego dowodem najjaskrawszym są nasze programy szkolne, które nad nauką o pracy przeszły sobie najspokojniej do porządku dziennego.

A jednak Praca już ma swoją filozofję, psychologję, fizjologję, swoje zasady organizacyjne, swoją historję (niestety, nie w języku polskim), swoją politykę, swoje prawodawstwo i nawet swoją religję, swój kościół.

Praca ma swoją duszę, ma swoją tragedję, swoją literaturę, zaś energją jest obdarzona tak olbrzymią, że pod jej naporem powstają już nowe ustroje polityczne, społeczne i moralne, całe nowe rodzą się światy.

Pomimo to u nas w dziedzinie pojęć o procesie pracy panuje jeszcze tyle ciemnoty, zacofańства, bestjalizmu, że jeszcze przed paru miesiącami, wysocy urzędnicy państwowi głosili jawnie, głośno i z przerażającym tupetem, że trzeba w Polsce postąpić z robotnikami tak, jak to przed kilku laty zrobiono w Finlandji: sto piećdziesiąt tysięcy robotników rozstrzelać, a resztę wziąć za łeb i zmusić do pracy.

Mniej krwiożerczo, na szczęście, doradzali inni; ci znów powoływali się na przykład Ameryki, na jej „naukową“ organizację pracy, na t. zw. tayloryzm i twierdzili, że najlepszym i jedynym środkiem pobudzenia człowieka do wydatnej pracy jest podniecenie go nadzieją większego zarobku przez wprowadzenie t. zw. premjowego systemu płacy.

I takie, i tym podobne poglądy wypowiadano w roku, poświęconym pamięci St. Staszica, który swojem życiem całem dał żywy i niezniszczalany dowód olbrzymiego znaczenia idei i serca dla Pracy

Bezwątpienia chęć, wola, zapał do Pracy obecnie upadły, ale i to nie ulega wątpliwości, że żadna siła fizyczna, żaden czynnik materjalny, energji ludzkiej nie wskrzeszą i nie spotęgują.

Bo jak to i dzieje Pracy wskazują i jak to opinje wszystkich uczciwych i szczerych Jej badaczy stwierdzają, Praca wówczas jedynie najwyższy stopień wydajności i twórczości osiąga, gdy jest zgodną nie tylko z powołaniem zawodowem pracownika, ale i z powołaniem człowieka wogóle.

Powołaniem natomiast człowieka, nie jest bynajmniej, najlepiej nawet wynagrodzona, praca najemna, praca dla celów prywatnych, prawie zawsze egoistycznych, ale praca dla dobra ogólnego, praca zbiorowa, praca powszechna.

Głosili to u nas, propagowali, sygnalizowali, myśliciele o tak odrębnym układzie psychicznym, jak: Cieszkowski, Hoene-Wroński, Brzozowski i Abramowski, a zagranicą działacze z tak różnych obozów, jak anarchista Kropotkin, a inżynier — przemysłowiec amerykański, Harrington Emerson.

Nowa Społeczność Cieszkowskiego, Zakon Wieczny znosi ostatni szaniec niewoli społecznej, bezduszną pracę fizyczną i ogłasza za jedynie godną człowieka pracę zbiorową, pracę społeczną.

Kodeks Prawodawstwa Społecznego Absolutnego uznaje człowieka za oddanego jedynie służbie, ostatecznym, absolutnym celom Ludzkości, niezależnym od wszystkich celów fizycznych, materjalnych, egoistycznych. (Hoene-Wroński).

Bardziej aktualnie ujmuje tę sprawę Brzozowski.

„Niezrozumienie istoty pracy — pisze — jest najbardziej chorym punktem myśli nowoczesnej. Praca jest wciąż rozpatrywana z z e w n ą t r z, nie z we-

wnątrz, jako pewna nieustanna i samoistna kreacja bio-psychiczna, całkiem określona i zawsze konkretna.

„Zagadnienie wyzwolenia pracy polega na tem, by po pierwsze zrozumieć: mocą jakich sił psychicznych wytwarzana jest ta suma woli, która wytwarza dzisiejszą wytwórczość i zabezpiecza przekazanie potomstwu tych cech, które sprawiają, że i nadal wola ta wytwarzaną będzie;

„po drugie—by zdać sobie sprawę, w jaki sposób mogą i mają być przeistoczone te siły psychiczne, aby ta sama, lub większa suma woli i energji były wytwarzane bez udziału żadnej, naciskającej z góry na klasę pracującą i wyzyskującej ją, hierarchji". (Idee str. 333).

A poprzednio zgodnie z założeniami marksizmu, tenże autor pisał:

„wymagania i potrzeby pracy i pracujących powinny się stać jedyną treścią prawa...

„cel i przedmiot walki klasy robotniczej uczynić pracę prawodawczynią, zdolną do sprawowania władzy prawodawczej nad sobą,

„praca, zdolna samej sobie nadawać prawo jest siłą, która, gdy raz jest zdobyta, utraconą już być nie może". (Idee, 104).

Na dominujące, decydujące, w przyszłości, niedalekiej triumfujące znaczenie czynnika ideowego, duchowego w organizacji życia społecznego i pracy społecznej zwraca naszą uwagę również i znakomity psycholog kooperatysta, Edward Abramowski.

„Porodzone w cierpieniach ludzkich — czytamy w II tomie jego pism — sprzeczności ekonomiczne (kapitał prywatny a praca przezeń wyzyskiwana) przygotowują w niedostrzegalnem jądrze życia społecznego, jakdyby dla zrównoważenia tych cierpień przebytych, poród nowego świata, królestwo człowieka wyzwolonego z pod jarzma rzeczy, urzeczywistnienie tego snu cudownego, który kiedyś, za dni Tyberjusza, miała ludzkość na Galilejskiej ziemi; wtenczas, prosty syn cieślów opowiadał jej swoje boskie marzenia o człowieku, z którego opadły kajdany pracy (najemnej, bezdusznej, niewolniczej) i trosk powszednich, żyjącym na podobieństwo „lilji polnych", w rozkoszy poszukiwania „nieznisczalnych skarbów" miłości i piękna; teraz, historja sama objawia ludzkości, że w jej własnem łonie sprawdzać się zaczyna ten sen wieków dawnych, że tam — w głębinach jej życia rozstrojonego męczarnią ludzką — porusza się już w swoim „rzeczowym" zaczątku nowy świat wyzwolonego człowieka". (Str. 92).

Idee i myśli Abramowskiego prowadzą nas do pełnego już prawie uświadomienia sobie olbrzymiej doniosłości duchowej organizacji pracy.

Stanie się ona nie tylko źródłem prawa i władzy Pracy, jak u Brzozowskiego, ale przez nią nastąpi owo potrójne wyzwolenie człowieka, które stanowi, właściwie, treść zasadniczą ideowego komunizmu, kolektywizmu.

A więc naprzód — „jako wyzwolenie człowieka od jarzma rzeczy, gdyż cała troska o warunki życia przechodzi do społeczeństwa, wskutek czego zaspakajanie potrzeb życiowych zajmuje minimalne miejsce w świadomości ludzkiej, jakkolwiek społecznie rozwija się ogromna praca około tego. Jest to zasadniczy punkt kolektywizmu, jego wartość ekonomiczna). Powtóre — jako wyzwolenie od jarzma instynktów zwierzęcych, instynktu zachowania siebie, głodu, które, podobnie jak instynkt oddychania, przejdą w sferę nieświadomą człowieka... w końcu — jako wyzwolenie z przymusu społecznego, którym jest wszelkie państwo, zmuszające siłą fizyczną, policyjną, do zachowywania praw uświęconych; przymus ten zanika, odkąd społeczeństwo, organizując się do wytwórczości kolektywnej, staje się, jakgdyby przyrodniczem środowiskiem człowieka... (Str. 95).

To, co Abramowski wypowiedział powyżej językiem filozofji, to samo wyraził ze ścisłością nauk ekonomicznych, myśliciel rosyjski, Piotr Kropotkin, w swojem znakomitem studjum, p. t. „Zdobycie Chleba".

„Ekonomji politycznej — pisze Kropotkin — często stawiano zarzut, że wszystkie swe wnioski wyprowadza z niewątpliwie fałszywego założenia, iż jedynym czynnikiem, pobudzającym człowieka do wytężenia swych sił produkcyjnych jest, ciasno rozumiany, interes osobisty.

„Zarzut ten jest zupełnie słuszny. Epoki wielkich odkryć i prawdziwego postępu w dziedzinie przemysłu, przypadają właśnie na czasy, kiedy ludzie najwięcej marzyli o szczęściu powszechnem, a najmniej myśleli o zbogaceniu się osobistem.

„Wielcy badacze i wynalazcy pragnęli przedewszystkiem wyzwolić ludzkość"...

A potem dalej:

„Można powiększyć czterokrotnie produkcję zboża i owoców w ciągu roku, lub dwóch przy społecznej organizacii pracy...

„Gdy się chce ulżyć doli właścianina, to conajwyżej ma się na myśli obniżenie podatków i renty dzierżawnej. Nikt nie ma odwagi wyobrazić sobie, choćby w myśli, włościanina, któryby wyprostował wreszcie swe zgarbione barki, używał wczasów i pracując po kilka godzin dziennie, produkował tyle, iżby wystarczyło dla stu ludzi. (Str. 168).

„Bo rewolucja jest cześm więcej, niż zburzeniem danego ustroju. Jest to zbudzenie umysłu ludzkiego, spotęgowanie jego wynalazczości dziesięciokrotnie, stokrotnie. Jest to świt nowej nauki, nauki Laplace'ów, Lamarcków, Lavoisier'ów.

„Jest to rewolucja umysłów — więcej nawet, niż instytucyj. (Str. 166).

Wogóle Kropotkin ze ścisłością matematyczno-statystyczną wywodzi, że przy powszechnej, społecznej, uduchownionej (t. zw. wyzwolonej z antagonizmów klasowych i narodowościowych) pracy dla wyżywienia 350 miljonów europejczyków wystarczy 25 pięciogodzinnych dni roboczych.

I takie maximum wydajności przy minimum absolutnem, rzeczywistem pracy fizycznej stanowiłoby w istocie, prawdziwy triumf idei organizacji.

I na te istotne, porywające, zapalające, energję ludzką do stopnia najwyższego potęgujące wizje i obrazy przyszłego świata zorganizowanego na zasadach twórczej etyki ludzkości, powinniby zwrócić uwagę i nasi warszawscy naukowi organizatorzy pracy.

Powinni i oni dojść do tego wniosku, że żadna racjonalna organizacja pracy nie da się zrealizować

bez radykalnej przebudowy społeczeństw, państw i całej panującej obecnie moralności.

Pojmowali to, widzieli jasno, niektórzy rzadcy, niestety, przedstawiciele myśli organizacyjnej w Ameryce, jak np. wspomniany powyżej inżynier amerykański,—Harrington Emerson, który, w swoich Dwunastu Zasadach Wydajności, głosił:

„Mija już era mięśni i niewoli a z nią i stara moralność i era organizacji następuje szybko a razem z nią zjawia się nowa moralność, zgodnie z którą przykazania względem bliźniego powinny być zachowane i zastosowane nie tylko do oddzielnych ludzi, ale do całych klas, narodów i ras“. (Str. 8).

Jan Bełcikowski.

Legja Inwalidów Wojsk Polskich.

Korzystając z uprzejmości p. por. Wacława Juraszka, prezesa Komitetu Wykonawczego Legji Inwalidów Wojsk Polskich, zadaliśmy mu szereg pytań, dotyczących sprawy inwalidów wojsk polskich, i sądzimy, że w skrócie koniecznym podane tu jego odpowiedzi zaspokoją ciekawość czytelnika i zapoznają go z tem wszystkiem, co o inwalidach wojsk polskich wiedzieć powinien. Pierwsze nasze pytanie brzmiało:

Kiedy, z jakich powodów i w jakich okolicznościach powstała Legja Inwalidów Wojsk Polskich?

Inwalidów wojsk polskich jest 26.000. Nie opiekuje się niemi żaden traktat, nie opiekował się dotąd żaden związek. Mała—wobec ogólnej liczby inwalidów w Polsce—garstka inwalidów Wojsk Polskich źle była traktowana przez Związek Inwalidów R. P. i postanowiła zorganizować się osobno. Czas bowiem, aby nareszcie spełniać zaczęto obietnice 1920 roku nie na papierze i nie na żarty.

Społeczeństwo polskie i Rząd polski powinny wiedzieć i pamiętać o tem, że inwalidami armji polskiej nie interesował się żaden traktat pokojowy, i że są oni zdani tylko na swą energję i dobrą wolę rządu i społeczeństwa.

Zasady organizacji.

Obowiązujący dziś statut Legji Inwalidów Wojsk Polskich zatwierdzony został przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w lipcu 1926 roku. Siedzibą władz naczelnych Legji jest Warszawa, terenem działalności całe Państwo. Celem—staranie się o całkowitą realizację Ustawy Inwalidzkiej, uchwalonej przez Sejm, oraz wszystkich praw, nadanych inwalidom, dalej, okazywanie pomocy wszystkim inwalidom wojsk polskich, utrzymanie tradycyj łączących inwalidów jako towarzyszy broni i obywateli polskich, niesienie bezpłatnej pomocy prawnej i moralnej we wszystkich zgodnych z pojęciem o słuszności sprawach, dopomaganie do uzupełnienia rozwoju kulturalnego i oświatowego przez urządzanie bibljotek, czytelni i klubów koleżeńskich, odczytów i zebrań, — dążenie do zrealizowania swoich wydawnictw o charakterze prasowym, oraz drukowanie wszelkich materjałów informacyjnych, dotyczących spraw inwalidzkich i społecznych, organizowanie spółek zarobkowych, budowa domów mieszkalnych dla inwalidów wojsk polskich i ich rodzin, zorganizowanie Banku Gwarancyjnego inwalidów wojsk polskich, wystaranie się u Władz o ulgi materjalne i o pewną ilość miejsc w uzdrowiskach klimatycznych i zdrojowo-kąpielowych, oraz zawieranie w imieniu Legji wszelkiego rodzaju tranzakcyj i umów handlowych w celu polepszenia bytu inwalidów i ich rodzin, oraz w celu zdobycia funduszów do zrealizowania zadań Legji.

Zwyczajnym członkiem Legji może być każdy inwalida z wojsk polskich, a mianowicie: ze stałej armji polskiej, stworzonej prawem poborowem po ogłoszeniu Niepodległości Polski; z armji ochotniczej broniącej niepodległości Państwa Polskiego, i ze wszystkich tych oddziałów wojskowych, które pod różnemi polskiemi nazwami wojskowemi walczyły orężnie o Niepodległość Polski od roku 1914-go, bądź samodzielnie, bądź też w szeregach wojsk obcych państw.

Obowiązkowym warunkiem przynależności do Legji jest dla każdego członka zwyczajnego uzyskanie stanu inwalidzkiego od Ministerstwa Spraw Wojskowych na podstawie przepisów Ustawy Inwalidzkiej.

Legja składa się z oddziałów, obejmujących terytorja Korpusów Wojsk Polskjch, z siedzibą każdego Oddziału tam, gdzie mieści się D. O. K.

Naczelnem Kierownictwem Legji jest Komitet Wykonawczy z siedzibą w Warszawie, naczelną Władzą zaś Zjazd Delegatów.

Zjazd odbywa się corocznie w sierpniu lub wrześniu.

Komitet Wykonawczy reprezentuje Legję nazewnątrz, prowadzi wszelkie sprawy administracyjne i finansowe Legji, zwołuje Walne zgromadzenie delegatów. (Zjazd). Składa się z prezesa, wiceprezesa, sekretarza, kierownika biura i skarbnika.

Wybory członków Komitetu wykonawczego odbywają się jawnie w nastepujący sposób:

a) delegaci, zebrani na Walnem Zgromadzeniu Delegatów Legji Inwalidów W. P., winni na kartkach, doręczonych im przez Prezydjum Walnego Zgromadzenia, zapisywać imiennie kolegów, których chcą mieć w Komitecie Wykonawczym, oraz mają podpisywać swoje imiona i nazwiska oraz Oddział do którego sami należą. Po doręczeniu przewodniczącemu wszystkich kartek z oddanemi głosami, kartki te mają być obliczone ilościowo, z tem, że winny być głośno wymienione nazwiska głosujących, jak również i zapisane przez nich na kartkach nazwiska kandydatów, za któremi głosują do Komitetu Wykonawczego. Zwykła większość zapisanych nazwisk przez głosujących delegatów rozstrzyga o wyborze;

b) w ten sam sposób obierają się członkowie do Głównej Komisji Rewizyjnej oraz 8 członków do Naczelnej Rady, i członkowie Głównego Sądu Koleżeńskiego.

c) pozostawia się wolny wybór z pośród 8 członków Naczelnej Rady. Pozostali są w rezerwie, na wypadek ubytku wskutek choroby, czy innych powodów;

d) kartki rozdają głosującym i odbierają już zapisane czterej wyznaczeni przez Prezydjum Walnego Zgromadzenia Delegatów, członkowie, przyczem po dwóch rozdaje i dwóch odbiera.

Naczelna Rada składa się ze wszystkich członków Komitetu wykonawczego, z 4 zwyczajnych członków Legji, wybranych przez Walne Zgromadzenie Delegatów do Naczelnej Rady, z Kierowników oddziałow, Przewodniczącego Głównej Komisji Rewizyjnej oraz z 2 członków nadzwyczajnych i 5 członków honorowych Legji, zaproszonych do Naczelnej Rady przez Komitet Wykonawczy.

Naczelna Rada zbiera się raz na miesiąc w dniu ustalonym każdorazowo przez Komitet Wykonawczy, a uchwały zapadają zwykłą większością głosów, z przewagą przewodniczącego w razie równego podziału głosów.

Przewodniczącym Naczelnej Rady jest Prezes Komitetu Wykonawczego, pozostawia mu się jednak prawo po otworzeniu posiedzenia i ustaleniu porządku obrad — oddać przewodnictwo jednemu z członków Naczelnej Rady, w pierwszej linji członkowi honorowemu.

Naczelna Rada jest doradczym organem Naczelnego Kierownictwa i uchwały jej winny być ściśle protokułowane, z tem, że uchwały doradcze, niestosowane przez Naczelne Kierownictwo, winny być podane na rozpatrzenie pierwszego Walnego Zgromadzenia Delegatów Legji, z dołączeniem umotywowania ze strony Komitetu Wykonawczego, dlaczego takie uchwały nie zostały zastosowane.

Miejsce zebrań (posiedzeń) Naczelnej Rady wyznacza Komitet Wykonawczy po porozumieniu się z Kierownictwami Oddziałów oraz z członkami honorowemi Naczelnej Rady, zastrzegając sobie ostateczną decyzję.

Główna Komisja Rewizyjna sprawdza całą działalność Naczelnego Kierownictwa Legji oraz wszystkich jej Oddziałów i podlega tylko Walnemu Zgromadzeniu Delegatów.

Główna Komisja Rewizyjna składa się z 5 (pięciu) członków Legji, którzy z pośród siebie wybierają Przewodniczącego.

W razie wykrycia jakiejś niedokładności Główna Komisja Rewizyjna zwraca, za pośrednictwem swego Przewodniczącego, uwagę na to Komitetowi Wykonawczemu, względnie Kierownictwom Oddziałów, jeżeli chodzi o wykrycie nadużycia natury administracyjnej.

Do rozstrzygania wszelkich sporów powołane są Oddziałowe Sądy Koleżeńskie.

Liczebność, majątek, wsparcie rządu, wsparcie społeczeństwa.

Legja liczy w tej chwili przeszło 6.000 czynnych członków, grupujących się w 12-stu oddziałach, a to: Warszawa, Stanisławów, Wilno, Kraków, Lwów, Jarosław, Nowy-Tomyśl, Poznań, Tomaszów Lubelski, Kalisz, Nowy Sącz, Katowice, Śrem i Staszów. Praca organizacyjna jednak posuwa sie obecnie bardzo szybko naprzód. W wielu miastach czynne są komitety organizacyjne, które w niedługim czasie zmienią się w zarządy nowych oddziałów.

Majątku Legja dotąd nie posiada. W dniach ostatnich otrzymała Legja do swego rozporządzenia warsztaty pracy (krawieckie i szewskie) na Pradze. Zawdzięcza to Legja Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej.

Na brak poparcia ze strony Rządu Legja uskarżać się nie może. Szczególnie władze wojskowe starają się ulżyć w miarę możności ciężkiej doli inwalidy polskiego. Co zaś zainteresowania ze strony społeczeństwa dotyczy, to jest ono, niestety, bardzo małe.

Zapomniano już o tych świetnych dniach 1920 roku, o kwiatach rzucanych pod kopyta koni, na lufy armat, na karabiny piechurów. A jednak trzeba pamiętać!

A jednak trzeba wiedzieć, że tych, którzy w obronie Polski, Jej bogactw i honoru stracili zdrowie i zdolność do pracy jest 26.000!

Komitet Wykonawczy Legji pracuje dziś z zapałem. Legja jest dziś udziałowcem firmy handlowo-przemysłowej p. f. „Legja inwalidzka", i stara się zarabiać możliwie dużo, by zrealizować najbardziej palące dążenia: p r a c a i d o m y d l a i n w a l i d ó w!

Rzeczą Rządu jest stworzenie odpowiedniego funduszu przeznaczonego na uruchomienie koncesyj, by się nie marnowały lub z konieczności smutnej nie dostawały w ręce niepowołane, — rzeczą rządu jest rozumne a nie biurokratyczne przeprowadzenie kopitalizacji rent, — rzeczą zaś społeczeństwa jest popieranie moralne i materjalne akcji budowy domów pracy.

Red.

KRONIKA INWALIDZKA.

Dziwny doktór z Żyrardowa.

Są ludzie różni i bardzo różnie rozumują. Zdaje im się np., że od ich głosu, rady lub niezadowolenia zależy los... setek tysięcy ludzi. Tak np. niejaki Dr. Aleksander Hall z Żyrardowa podpisał swego czasu deklarację ogłoszeniową, własnoręcznie ją całą wypełnił, pieczęcią swoją ją opatrzył... a kiedy ogłoszenie jego zostało już wydrukowane, odmawiał stale zapłaty (20 złotych!) i inkasentów naszych pędził poprostu za drzwi. Zagroziliśmy mu przeto sprawą sądową. Wówczas napisał do nas list poniższy:

„Dn. 19.XI.26 wysłałem 20 złotych przekazem na P. K. O.—Uczyniłem to nie przez bojaźń, abyście Panowie nie zwrocili się na drogę sądową, bo, mając zaufanie do Sądów Polskich nie obawiałbym się sprawy z Panami, mając dowody na to (jakie, grzeczny w sposób przedziwny, panie doktorze!?) żeście Panowie podstępem wyłudzili odemnie zobowiązanie na ogłoszenie, potrzebne mi jak piąte koło u wozu — ale dlatego że chcę raz na zawsze skończyć wszelkie rozmowy z Panami — i nie życzyłbym sobie spotkania na tym czy innym gruncie.

Postępowanie Panów oświetlę, gdzie należy, i mogę Panów upewnić, że nie przysporzy ono przyjaciół sprawie Inwalidów, która tylko na tem ucierpi. Dr. A. Hall".

Niech Pan oświetla, Panie doktorze! My właśnie światła się nie boimy i pozwolimy sobie podać tutaj i naszą na Pański list odpowiedź:

„Leży przed nami deklaracja własnoręcznym pismem Pańskim wypełniona z Pańskim podpisem i Pańską pieczęcią, a obok niej list Pański z dnia 20.XI26! Jest rzeczą stwierdzoną ponad wszelką wątpliwość, że wpłacając nam złotych dwadzieścia, spełnił Pan tylko obowiązek, dobrowolnie na siebie przyjęty, wobec czego list Pański pełny obelżywych dla nas i bezpodstawnych oskarżeń nie obchodziłby nas więcej, niż zeszłoroczny śnieg żyrardowski, gdyby nie to, że obraża nas Pan na posterunku społecznym, którego honoru bronić jesteśmy obowiązani. Dlatego-to i my potrafimy oświetlić sprawę, gdzie należy, i zużytkować Pańską deklarację i Pański przedziwnie inteligentny list, jako dowody świadomej przeciwko nam działalności. Co zaś sprawy inwalidzkiej dotyczy, niech Pan Doktór będzie spokojny. Inwalidów jest przeszło 350.000 i los ich nie zależy nawet od stu doktorów żyrardowskich, na dowód czego pozwolimy sobie Pańską deklarację i list Pański opublikować w najbliższym numerze „Polska Inwalidom". Obietnicy dotrzymujemy." I jeszcze jedno, panie Doktorze! I my bezwzględnie Sądom Polskim ufamy i wiemy, że potrafią nas obronić przeciwko złośliwym, a bezpodstawnym oskarżeniom i obelgom.

Wydawnictwo **„Polska Inwalidom"**.

Niepotrzebne trudności.

Związek Inwalidów Wojennych R. P. wystąpił do Ministerstwa Spraw Wojskowych o cofnięcie zarządzenia, dopuszczającego interwencję Związku w urzędach w sprawach poszczególnych inwalidów jedynie po wykazaniu się zalegalizowanem sądownie lub notarjalnie pełnomocnictwem, udzielanem Związkowi przez zainteresowanego inwalidę. W pełnomocnictwie ma być przytem wyraźnie podany rodzaj czynności, jaką ma przedsięwziąć Związek imieniem osoby, udzielającej pełnomocnictwa. Związek podkreśla, iż żądanie sądownie lub notarjalnie legalizowanego upoważnienia spowodować musi wygotowanie setek tysięcy upoważnień, za które biedna rzesza inwalidów będzie musiała zapłacić miljonowe kwoty do rąk notarjuszy. Związek zaznaczył równocześnie, że w razie nieskasowania wspomnianego zarządzenia, musiałby zacząć akcję publicznej zbiórki na pokrycie kosztów legalizacji pełnomocnictw.

Głos z Wilna o Legji.

Z Komitetu Wykonawczego Legji Inwalidów Wojsk Polski otrzymujemy poniższy artykuł:

Zawierucha wojenna minęła! Z podniesieniem do góry sztandaru pokojowego, obrońca Ojczyzny opuścił karny szereg Wojska Polskiego, przechodząc na arenę życia pokojowego, by poświęcić pełen zasób swych sił w pracy kulturalno-oświatowej i gospodarczo-finansowej w Państwie. Świat powstając na nowo z otchłani wielkiej wojny, która w kotle pełnym krwi zniszczyła życie przedwojenne, potrzebował wielkich wysiłków Narodu, ażeby doprowadzić do stanu normalnego tryb życia. Narodu tylko nie zniszczył największy katalizm światowy, jakim była wojna, gdyż naród, ta najwyższa i najsilniejsza organizacja ludzkości, nie opadł na duchu, niosąc hasło idei stworzonych ze związków utajonych w duszy i krwi ludzkiej głęboko. Jak początkiem był zapał ogólny, tak potem ostygł zamieniając się w zimną apatję—cecha powojennych czasów. Rycerze, wywalczywszy niepodległość Ojczyzny, nie osiągnęli tego, o czem marzyli—a marzenia Ich zamykały się w skromnych ramkach teraźniejszości—zapewnienie bytu przez współpracę w odbudowie kraju zniszczonego wojną. Formowanie się w związki i stowarzyszenia byłych wojskowych Armji Polskiej, wobec braku solidarności, rozbieżnej polityki zrzeszonych niedawało wyjścia z sytuacji. Wspólny front inwalidów i rezerwistów W. P. był tu konieczny, ażeby jednolicie reprezentować około miljona liczącą armję, wołającą o chleb. Zrozumiało to dobrze grono osób, powołując do życia „Legję Inwalidów W. P."

w Warszawie, która rozpostarła swe skrzydła opiekuńcze na całą Polskę tak długą jak szeroką, skupiając wokół siebie szarych bojowników Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. I nasz gród Gedymina nie pozostał w tyle, por.-inż. Juraszek wspólnie z por. rez. Ochockim stworzyli oddział wileński Legji, który w listopadzie 1926 r. rozpoczął swą żmudną pracę — jednanie wojowników kraju zagrożonych ideją partyjną, otumanionych wymyślanemi hasłami, rozbijającemi obóz zdemobilizowanych na kilka części. Ciężką odpowiedzialną misję, wziął na swe barki zarząd oddziału, w osobach Ochockiego, Szwigiera i Kamińskiego, postanawiając nietylko pobudzić do czynu tutejsze społeczeństwo, lecz wniknąć głębiej w dolę i niedolę rzeszy wojowników, stwarzając własne warsztaty pracy — oddalając przez to bolączkę kraju — bezrobocie. Pierwszy krok pomimo niebywałych przeszkód tak natury finansowej jak braku szerszego zainteresowania naszych sfer społecznych organizacją, nieosłabił na duchu dzielnych pionierów wzniosłej myśli, przeciwnie ofiarna praca Ich skierowała sprawę porozumienia między Legją a społeczeństwem na odpowiednie tory. Wiele kosztowało pracy i zachodu, wiele jeszcze należy poświęcić sił, by doprowadzić dzieło do zrealizowania, może tylko ten sobie przedstawić, kto organizację stowarzyszeń, opartą na realnych podstawach zna i odczuwa. Inicjatywa głęboka, świadomy pogląd jednostek nie zawsze opanować może szeroki zakres pracy... pracy twórczej tak potrzebnej nam w państwie. Uświadomieniem dalekoidącem jednać należy szerokie masy inwalidów i zdemobilizowanych W. P. tak i społeczeństwo nasze, drzemiące jeszcze w kolebce, które zawdzięcza li tylko szarym rycerzom wolność Ojczyzny, słowa i wiary.

Dlatego społeczeństwo pomne niebywałych czynów swych synów w walkach z krwiożerczym nieprzyjacielem nie przejdzie do porządku dziennego nad sprawą istnienia — tych, którym szczęk miecza długo był pobudką dnia.

Zapomnieć nam należy, że „Legja" powstała na gruncie politycznym, dzierżąc pochodnię przewodnią nad pracą kulturalną, jak matka dziecię otulić pragnie, chroniąc go przed wyziewami zgniłego powietrza, tak Ona ochraniać będzie od zatrutych strzał godzących często w ciała i serca swoich rycerzy. Oddział wileński spełni swe posłannictwo wobec rządu, zdemobilizowanych i społeczeństwa jak najlepiej, torując sobie drogę zabagnioną i chwastem obrosłą celowym planem... planem lepszego jutra dla swych maluczkich. Niemiłą niespodziankę sprawiły pewne instytucje społeczne, rozporządzające znacznemi subsydjami, przez nieprzychylne stanowisko w kwestji finansowej wobec oddziału Legji, udzielając zaś wydatnej pomocy materjalnej jednostkom i organizacjom z programem zawiłym w politykę partyjną, daleko stojących od kultu słowa i czynu. Nie wątpimy, że zdrowa myśl Legji otworzy im oczy, jak bardzo się pomylili w swych przypuszczeniach o roli, którą Ona ma odegrać na arenie życiowej. Wspólnym frontem z zapałem tężyzną i żywiołowym rozmachem żądać musimy stworzenia wielkich i trwałych podstaw w budowie schroniska, w tworzeniu kultury, w rozwoju gospodarczym i społecznym—zaś bracia po broni — armja czynna niezapomni o nas, popierając słowem lub czynem ideję przewodniczą. Bo Legja powstała, by żyć!!!

Roman Rubczak.

Wilno w lutym 1927 r.

Pożyczki rządowe dla inwalidów.

Inwalidzi, posiadający koncesje monopolowe, mają prawo ubiegać się o pożyczki w wy okości do 1,50. złotych z funduszu przeznaczonego na ten cel przez Ministerstwo Skarbu. Fundusz ten wynosi 500.000 złotych. Podania, adresowane do Komitetu Pożyczkowego dla inwalidów przy Państwowym Banku Roinym w Warszawie, należy składać za pośrednictwem miejscowego starostwa, względnie Ko isarjatu Rządu. Potrzebne są następuiące załączniki: 1.) odpis ksi żki inwalidzkiej, 2. odpis koncesji, 3. nazwiska i ad esy dwóch poręczycieli, którzy mogą złożyć gwarancję zwrotu pożyczki przez petenta.

Polska wyprawa naokoło świata.

PP. Tadeusz Wacław Wendyński, Józef Jakubowski oraz Leopold Monatglik organizują przy pomocy naszej Redakcji samochodową wyprawę naokoło świata. Plan tej wyprawy, szczegóły organizacji i t. p. podamy w najbliższym numerze. Wyprawa ma cele przedewszystkiem propagandowe, a więc odczyty o Polsce, zapoznawanie dalekich kolonij polskich z życiem ich Ojczyzny i t. d Nie wątpimy, że sprawą tą zainteresują się wszyscy, i w najbliższym numerze damy możliwie wyczerpujące szczegóły.

Loterja na budowę domow pracy dla inwalidów wojsk polskich.

Komitet Wykonawczy Legji Inwalidów Wojsk Polskich uzyskał pozwolenie na urządzenie loterji fantowej na rzecz budowy domów p acy dla inwalidów wojsk polskich. Będzie to loterja bardzo oryginalna, w formie pocztówek.

Wydając 25 groszy na niniejszą pocztówkę, kupujesz jedną cegłę na dom pracy dla inwalidów wojsk polskich,—tych, którzy w roku 1920 własną piersią i krwią kraj obronili. Przypomnij sobie hasło tego roku: „Wszyscy na front! Ty Polsce—Polska Tobie".

Jeżeli jesteś kupcem, prowadź swoją korespodencję na takich pocztówkach — będzie to świetna reklama dla ciebie, kiedy klijent twój wygra na otrzymaną od ciebie pocztówkę fant srebrny wartości 1.200 złotych.

Jeżeli chcesz komuś złożyć życzenia świąteczne lub w dzień imienin, to napisz je na takiej pocztówce — kosztem tak małego wydatku — być może zrobisz mu podarunek wartości 1.200 złotych.

Jeżeli wogóle jesteś dobrym człowiekiem, to używaj zawsze tych pocztówek, kiedy piszesz do ludzi n ezamożnych— być może, że im przez to pomożesz w sposób nieuwłaczający ich honorowi.

Jeżeli otrzymałeś od kogokolwiek taką pocztówkę, to odpowiadaj w takiż sposob—pamiętaj, że grzeczność jest dowodem kultury.

Wreszcie, jeżeli jesteś egoistą i dbasz tylko o siebie samego — to nie posyłaj nikomu tej pocztówki, a napisz na niej swoje nazwisko i adres i zachowaj ją do losowania.

O marynarce polskiej.

Historja powstania naszej polskiej marynarki i jej rozwoju do dziś dnia nie znajduje w żadnem dziele należytego i szczegółowego oświetlenia. Dość obszernie o marynarce polskiej mówił Juljan BARTOSIEWICZ, którego prace umieszczone są w jednej

z najstarszych encyklopedyj Orgelbranda. Rzecz zatem jest stara i zawiera dużo błędów i nieścisłości. Dalej o marynarce mamy kilka bardzo ogólnikowych broszur, kilka nowel i powieści. Artykułem tym chcę obudzić właściwe czynniki, które winny się zająć poszukiwaniem materjału do sporządzenia poważnego dzieła historycznego o powstaniu marynarki polskiej, gdyż znane dzieło A. Czołowskiego nosi charakter popularny i posiada znaczne luki.

Materjały te przy właściwym poszukiwaniu można znaleźć w Gdańsku, Kopenhadze, Królewcu, Petersburgu, Francji oraz Turcji, — zaś wewnątrz kraju, na Pomorzu, w Krakowie, Lwowie i Poznaniu, — drogą wezwania społeczeństwa w prasie oraz specjalnych wywiadów.

Cenne wstępne wskazówki dać by mogły dokładne studja:

1) Rękopisów bibljoteki Raczyńskich w Poznaniu (za czasów Zygmunta III) z XVI w.

2) Rękopisy bibljoteki miejskiej w Gdańsku (dość obszerny jest tam materjał)

3) Wydawnictwa:

a) Pamiętniki o Koniecpolskich ogłoszone przez Przyłęckiego w r. 1842.
b) „Beschreibung der Stadt Danzig“ r. 1687 przez Curicke'go.
c) Listy Władysława IV, przez Przyłęckiego „ojczyste spominki“ Grabowkiego — Kraków 1845.
d) Książki ławnicze Pucke.
e) „Kwartalnik historyczny“ T. II. Lwów 1897.
f) prace A. Kleczkowskiego „Rejestr budowy galeony“ Kraków 1915.

Najcenniejszemi jednak dowodami byłyby akta t. zw. „Komisyj Morskich“ (urzędów dawnej Admiralicji Polskiej)—ale gdzie są te akta nikomu niewiadomo i tych należałoby przedewszystkiem szukać.

W. Poz.

Podziękowanie.

Komitet Wykonawczy Legji Inwalidów Wojsk Polskich prosi nas o przesłanie tą drogą serdecznego podziękowania W. Panu Staroście Młodzianowskiemu i burmistrzowi miasta Tomaszowa Lubelskiego A. Krzyżanowskiemu za okazaną pomoc i życzliwe stanowisko zajęte względem Kompanji Legji w Tomaszowie Lubelskim i jej członków, inwalidów wojska polskiego.

HUMOR.

Wartość dorobkiewicza.

— Ciekaw jestem, co ten dorobkiewicz Rosenflantz jest wart?

— Iii! Niewiele! Dziś świnie strasznie spadły w cenie.

Także dżentelmen.

Przyjaciele spotykają się po długiem niewidzeniu.

— A, jak się masz, Moryc? Ale... ale... coś chciałem się zapytać...

— No?

— Zapomniałem. A skąd ty wracasz?

— Z Kozienic. Parszywa dziura.

— O! O! A propos... parszywa... jak zdrowie Twojej żony?! Co?!

Żyd - dezerter.

Skazany za dezercję na karę śmierci szeregowiec żyd (co w Polsce zdarzyło się pierwszy raz, przyp. red.) zapytany przed straceniem, jakie ma ostatnie życzenie, odpowiedział: — Ny! Ja szobie życze przyjoncz katołyczyzm.

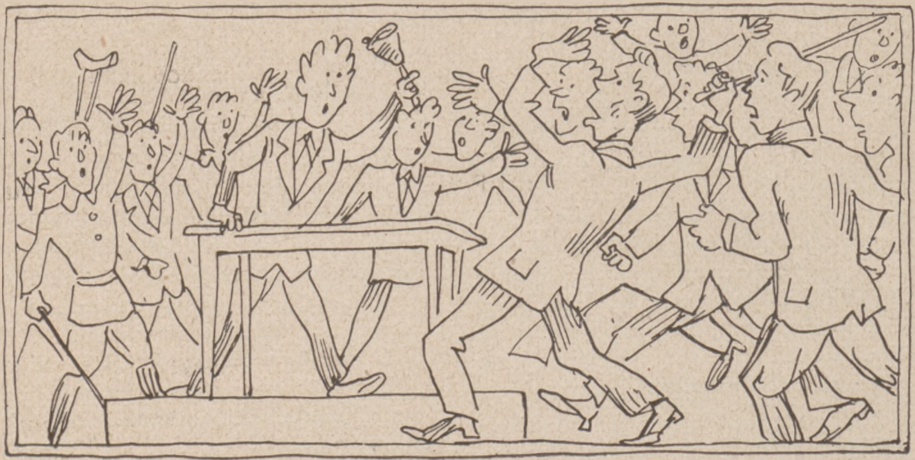
Wśród obecnych konsternacja — jedynie ksiądz wzruszony zawołał: — Owieczko zabłąkana, co cię do tego w obliczu śmierci skłoniło?

Żyd odpowiedział: — Ny! Prosie księżulka, jak ma zginoncz żyd, to niech lepi zginie katołyk!

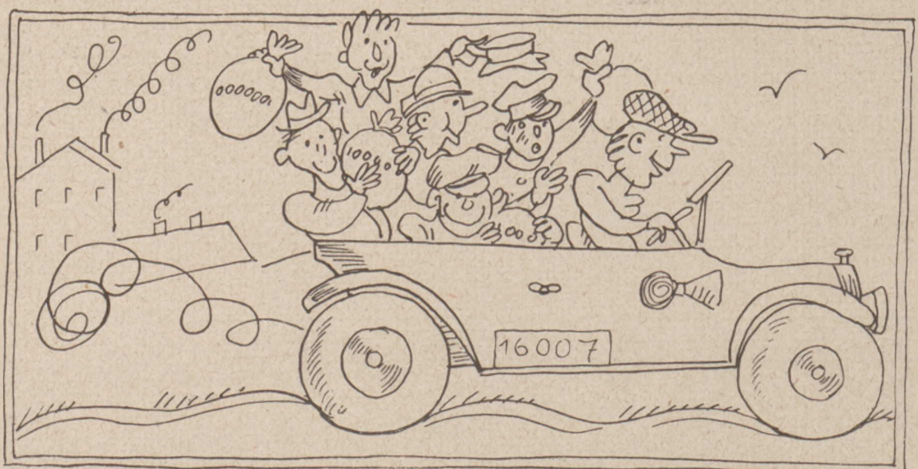
Mówią...

Mówią, że Pan Prezydent Rzeczypospolitej dlatego teraz właśnie wydał dekret w sprawie zabezpieczenia kaucyj pracowników, gdyż obawiał się wielkiego bezrobocia w związku z rozwiązaniem stołecznej rady miejskiej. Przecież te biedaki z rady miejskiej nie mają pieniędzy na kaucję, a zresztą muszą mieć odpowiednio ubezpieczone swoje oszczędności takim krwawym trudem zdobyte!

JAKTO RÓŻNIE BYWA, A BYĆ NIE POWINNO.



Posiedzenie... pełne zgody.



A po inwalidzkiej biedzie Zarząd samochodem jedzie.

SPIS TREŚCI.

Okładka według rysunku legjonowego z r. 1915

Redaktor: **Wiktor Przecławski.** Wydawca: Wydawnictwo **„Polska Inwalidom"**. sp. z o. o

Warszawa, Czackiego 10, m. 1. Tel. 97-58. Konto czek. P. K. O. 13.490.

Prenumerata roczna wraz z dodatkiem książkowym 20 złotych.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1 gr. 50.

Druk. Zakłady Graficzne Br. Tomczyka, Warszawa, ul. Złota 39.